

# PARADA



ROK II

NIEDZIELA, 6 LUTEGO 1944 R.  
SUNDAY, FEBRUARY 6, 1944

Nr 3 (22)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d.

# Dojedyunki w stratosferze

Przed wojną nie wiele wiedziliśmy o lotnictwie stratosferycznym, działania wojenne znacznie przyspieszyły i zwiększyły jego rozwój.

Cóż to jest stratosfera? Glob ziemski otoczony jest bezpośrednio warstwą powietrza, w której istnieje życie organiczne; ponad nią znajduje się „stratosfera” — rozrzedzone powietrze bez jakiegokolwiek życia organicznego. W stratosferze człowiek nie może żyć bez dopływu sztucznego tlenu. Grawitacja ziemska i siła wiatrów są tu też znacznie mniejsze, niż w atmosferze, przede wszystkim ze względu tak na odległość od centrum ziemi, jak i na silnie rozrzedzone powietrze. Uczni przyjęli, że stratosfera zaczyna się na wysokości około 9.300 mtr, górna jej granica nie została jeszcze ustalona.

Lot w warunkach stratosferycznych wymaga nie tylko wielkiego doświadczenia i odwagi, ale nieprzeciętnego zdrowia i wytrzymałości. Dokładne badania stwierdziły bowiem, że na wysokości 4.650 mtr oddechowe organa człowieka podlegają organicznym zaburzeniom, a przy 5.580 mtr nie korzystający z dopływu sztucznego tlenu — lotnicy mdleją. Konieczne jest więc używanie butli tlenowych. Nie dosyć na tym. Na wysokości 12.000 mtr lotnik, mając nawet stały dopływ tlenu, doznaje wyraźnych zmian w organizmie i podlega ogólnemu zmęczeniu i wycieńczeniu. Czysty chemicznie tlen z butli wpływa ujemnie na zdrowie lotnika, jeśli używany jest przez dłuższy czas.

Lot powyżej 10.850 mtr ma posmak rzykanckiego przekomarzenia się ze śmiercią, w wypadku bowiem przerwania dopływu tlenu, lotnik ginie. Przy lotach wyższych paraliż atakuje nogi i ręce, a żołądek znacznie się rozszerza na skutek gazów nagromadzonych wewnątrz organizmu. W końcu występują wyraźne objawy choroby, dobrze znanej lotnikom stratosferycznym, tak zwanej choroby — „zgięć”. Wyraża się ona w ostrych bólach stawów, ramion, łokci i kolan i pozostawia ofiarę w stanie kompletnego wyczerpania psychicznego i nerwowego.

Podczas obecnej wojny pierwszy samolot stratosferyczny ukazał się w roku 1941 na Środkowym Wschodzie. Był to samolot niemiecki JU 86. „Junkers” ten skonstruowany został specjalnie dla wywiadowczych lotów w stratosferycznych. Posiadając silne motory i nieprzeciętną rozpiętość skrzydeł, mógł z łatwością wznieść się ponad każdego myśliwca, a lecąc z szybkością 300 km na godzinę mógł uciec z dokonanymi zdjęciami.

Gdy JU 86 ukazał się nad pustynnymi terenami Środkowego Wschodu, myśliwce angielskie, znajdujące się wówczas w Afryce, nie były w stanie wznieść się na wysokość wroga i rozpocząć z nim bezpośrednią walkę. JU 86 po dokonaniu cennych zdjęć wycofywał się ze swą zdobyczą, dając wrogowi ważne informacje.

Sztab brytyjski zdecydował się na przeciwdziałanie i sięgnął po nowe, właśnie z Anglii sprowadzone, myśliwce Spitfire 5c. Doświadczeni fachowcy uznali,

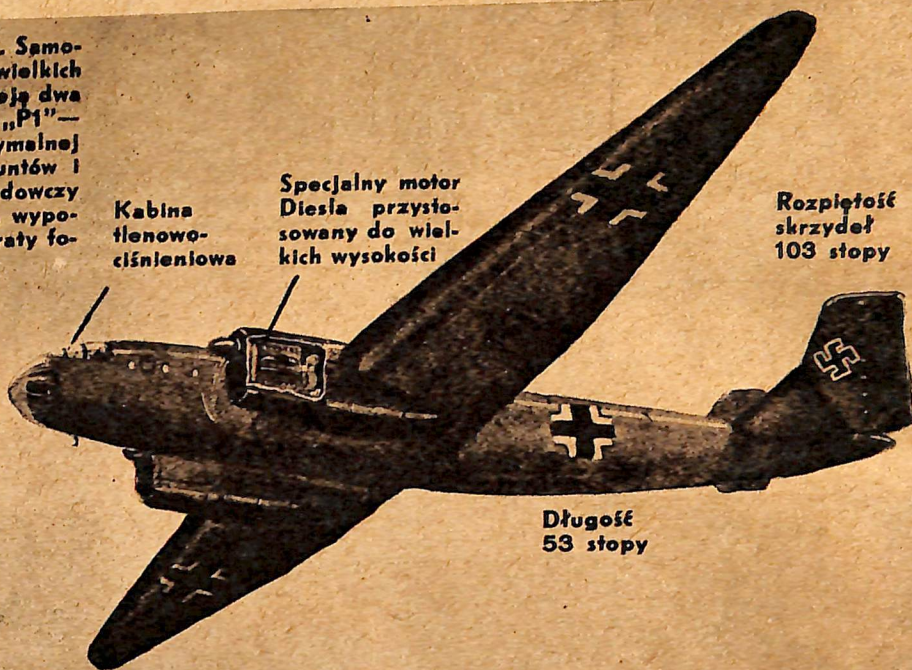
Junkers „JU 86 P”. Samolot do lotów na wielkich wysokościach. Istnieją dwa typy tej maszyny: „P1” — bombowiec o maksymalnej nośności 2.200 funtów i „P2” samolot zwładowczy o dalekim zasięgu, wyposażony w trzy aparaty fotograficzne

Kabina tlenowocisnieniowa

Specjalny motor Diesla przystosowany do wielkich wysokości

Rozpiętość skrzydeł 103 stopy

Długość 53 stopy



że JU 86 może być zniszczony! Znaleźli się natychmiast ochotnicy, którzy chętnie zgodzili się na ten eksperyment wojenny. Rozpoczęto gorączkowe przygotowania do lotu. Z samolotu Spitfire 5c zostały usunięte karabiny maszynowe, aby zmniejszyć jego ciężar, zachowano jedynie dwa działka 20 mm. Poza tym dokonano innych zmian, niezbędnych dla lotu o takiej wysokości.

Na pierwszego lotnika, który miał się spotkać z JU 86 wyznaczony został porucznik Reynolds, 40-letni pilot z Kenii. Koła lekarskie wyraziły zastrzeżenia, uważając, że lot i walka w stratosferze wymagają żelaznego wprost zdrowia, a nie człowiek już 40-letni.

Reynolds rozpoczął swą karierę lotniczą w wieku lat 35-ciu, kiedy kupił samolot dla ułatwienia sobie zawodu agenta licznych firm. Reynolds nie przeszedł żadnego kursu RAF'u, pomimo to pracował jako lotniczy ekspert doświadczalny na Środkowym Wschodzie i w ciągu swych licznych lotów nie uszkodził nigdy żadnego samolotu.

Taki to człowiek, wybrany do pierwszej walki z JU 86, rozpoczął intensywny trening w lotach stratosferycznych. I gdy pewnego dnia ustalono, że JU 86 wznowił znów działalność rozpoznawczą, Reynolds był już gotów. Spitfire 5c z Reynoldsem przy sterze wzbił się w powietrze i rozpoczął szaleńczy pościg za uciekającym nieprzyjacielem. Dopadł go nad błękitem Morza Śródziemnego, staczając walkę na śmierć i życie. Zwyciężył Spitfire 5c. Trafiony ogniem działka,

JU 86 stanął w płomieniach, korkociągiem runął w dół i znikł w morzu.

Tak zginął pierwszy w tej wojnie samolot stratosferyczny JU 86. W niedługim czasie ukazał się inny samolot niemiecki, lecący jednak wyżej niż pierwszy JU 86. Anglicy poczynili natychmiast pewne zmiany w taktyce walki z tym niebezpiecznym wrogiem. Przede wszystkim zmniejszono znów ciężar samolotu. Akumulator ważący 86 funtów zastąpiony został lżejszym, ważącym 8 funtów, który miał służyć jedynie do zasilania prądem reflektora przy aparacie celowniczym. Usunięto również radio, dla którego nie starczyło prądu. Poza tym w walce z groźnym przeciwnikiem ustalono metodę współdziałania dwóch pilotów. Jeden z nich miał walczyć w normalnym samolocie Spitfire 5c, który nazwano niszczącym, — drugi zaś w lżejszym Spitfire 5c, t. zw. uderzającym. W chwili gdy ustalono kierunek lotu samolotu nieprzyjacielskiego, lżejszy aparat uderzający wzbijał się w powietrze na spotkanie wroga. Samolot ten, lecąc ponad JU 86 i manewrując w odpowiedni sposób, zmuszał go do zniżenia lotu. Tam czyhał już Spitfire niszczący, który kończył wroga.

Pewnego dnia samoloty Spitfire 5c, lecące w formacji ćwiczebnej, natrafiły na JU 86. Wróg począł uciekać. Spitfire'y rzuciły się w pogoń. Lżejszy samolot, kierowany przez Gendersa, lecąc nad przeciwnikiem, zmusił go do obniżenia lotu. „Gdzieś w powietrzu” czekał już na niego drugi pilot Gold na swym niszczącym aparacie. W walce, jaka się wywiązała Spitfire okazał się samolotem nadzwyczaj szybkim, JU 86 zaś zwrotniejszym. Ostatecznie szybkość Spitfire'a zwyciężyła elastyczną zwrotność niemiec-

kiego aparatu. Po ciężkiej walce Gold zestrzelił przeciwnika, który runął w otchłań Morza Śródziemnego.

Walka z niemieckimi samolotami stratosferycznymi stale ulepszanymi przybierała na sile i rozmiarach, wymagając coraz większego doświadczenia i wysiłku.

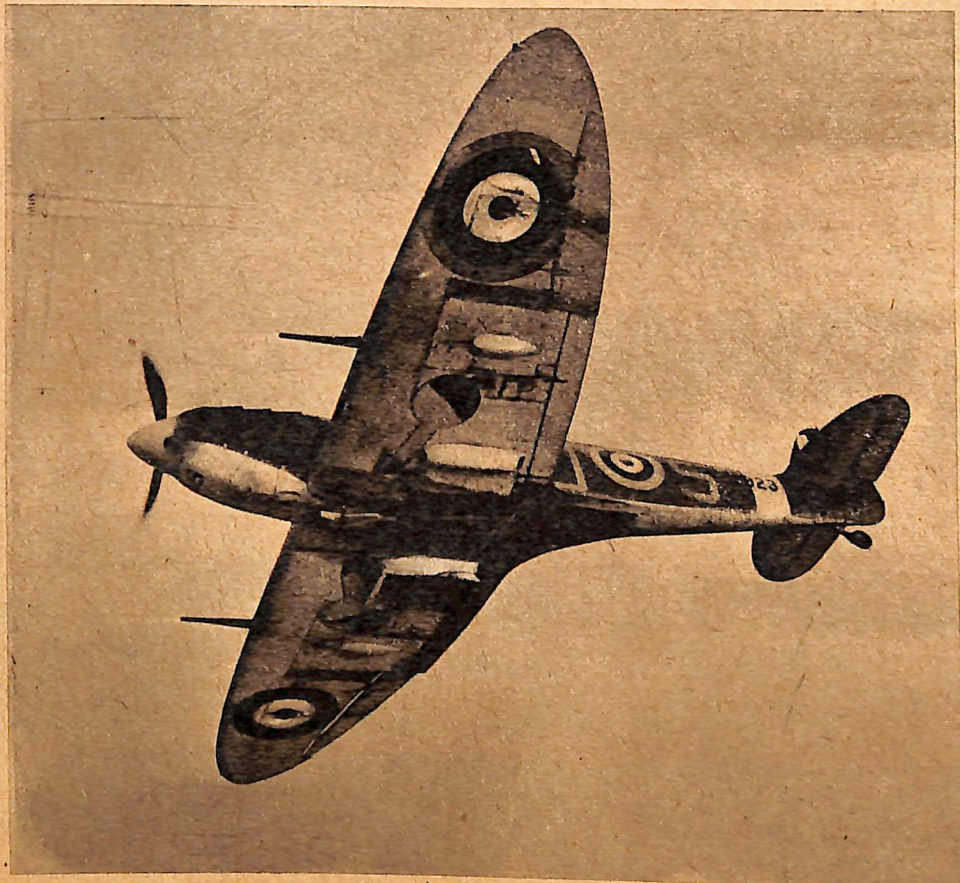
Pewnego dnia o świcie zjawił się znów JU 86, tym razem na szalonej wysokości 15.000 metrów. Reynolds samotnie ruszył w pogoń. Gdy Spitfire znalazł się na tej astronomicznej wysokości, temperatura w kabine wyniosła minus 67 stopni Fahrenheita, co równa się 20 stopniom Celsjusza. Instrumenty, deska rozdzielcza, aparat celowniczy i inne przedmioty pokryły się warstwą lodu. Walka Reynoldsa z JU 86 odbyła się na największej wysokości, jaką dotychczas osiągnęli lotnicy na Środkowym Wschodzie. Spitfire'zbudowany i przystosowany jedynie dla lotów zwykłych, nie stratosferycznych, wykazał na wysokościach dochodzących do 15.000 metrów wielkie zalety i najlepiej udowodnił swą jakość.

Reynolds walkę tę wygrał i samolot niemiecki zniszczył tak samo, jak i poprzednie. Przed oczami zwycięzcy roztoczył się widok cudowny. Z wysokości 8—9 km Morze Egejskie było widoczne jak na dłoni. Rozsiane na nim wysepki przypominały miniaturowe baloniki, a wydłużone kontury Krety wyglądały jak zapałka.

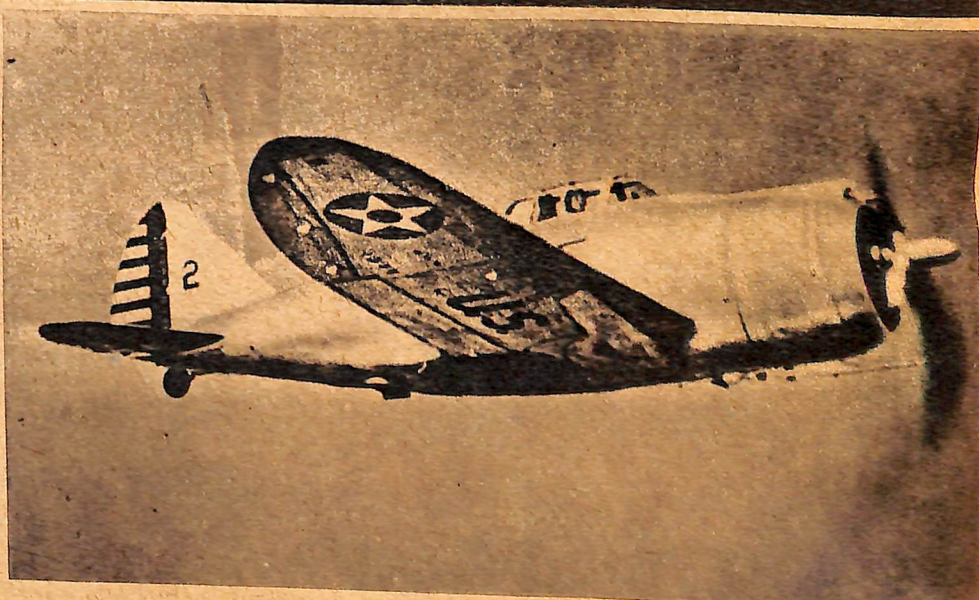
Porucznik Reynolds wobec braku benzyny wylądował w delcie Nilu. Za swe zasługi w walkach z JU 86 i wykazaną przy tym odwagę odznaczony został Krzyżem Walecznych — D. F. C.

Tak skończyła się epopea walki Spitfire'a 5c z samolotami stratosferycznymi JU 86, które nie pojawiły się już więcej nad Afryką Północną.

Edward Warszawski



← Nowy „Spitfire” z działkami w skrzydłach — Jest wciąż „królem” myśliwców „Lancer” jest amerykańskim myśliwcem do walk na wielkich wysokościach, wyposażonym w motor o sile 1.200 koni mechanicznych — chłodzony powietrzem. Jest to jeden z najnowszych substratosferycznych myśliwców ↓



## 8:120

„Bo nie wiem, czy państwo wiecie, że jestem farmaceutą, skończonym farmaceutą z Mościsk”...

Tego aptekarza prowincjonalnego, tych Fikalskich z manierami podnoszącego nóżkę foksteriera, tych adonisów baliku domowego, przedstawionych w Bałuckiego „Domu otwartym” oglądamy dzisiaj na scenie z żenującym zaciekawieniem, jak jakieś ichtiosaurusy z odległych epok. Takiego domu dawno nie ma, to jest świat zaginiony, zupełnie zaginiony. Oglądamy go z pewnym zażenowaniem, bo nieodparcie nasuwa się myśl o innym świecie, znacznie bliższym w czasie i typie, a także zaginionym: o Polsce przedwojennej. Ta też nigdy nie wrócił

Grzmot roznosi się dwa razy po dworze. I jeszcze raz, szkłem dzwoniąc po zajezdzie, a potem łomotem kolby o drzwi dębowe. — „Aufmachen!”

Niemieckie granaty ręczne padają w zimny świt styczniowy, jako pierwsze echo grudniowych strzałów poznańskiego powstania. Kompania „Grezschutzu” zajmuje wieś pod Leszmem. Wpuszczeni do dworu Niemcy rozbijają biurka, telefon, przeszukują dom, w którym mają być powstańcy polscy. Rewizja pozostaje bez wyniku. Dwa karabiny maszynowe i patrol ubezpieczają wieś, kompania rozkłada się na dłuższy pobyt.

Pochłania mnie ciekawość. Mam wtedy 11 lat. Niemców „prawdziwych”, Niemców przy robocie widzę po raz pierwszy. W Berlinie przez cztery lata znałem nie Niemców, a kolegów szkolnych i sklepikarzy życzliwych. Niemcy prawdziwi z opowiadań rodziców, z książek polskich łapczywie czytanych, dopiero teraz stają przede mną. Rozpanoszeni, grożący matce rewolwerem, w mundurach, z granatami za pasem, bezwzględni i silni. Pochłania mnie ciekawość, a wzbiera nienawiść równa bezsilie. Wiem wprawdzie, że wielki mój autorytet, Franek od koni cugowych uciekł do powstańców, ale wiem również, że ma tylko dubeltówkę, buchniętą wujowi. A ja widzę karabiny maszynowe, granaty i 120 uzbrojonych żołnierzy...

Trwający do południa spokój przerywa bezładna strzelanina. Lecą szyby, wybuchają granaty ręczne, z podwórza dobiega tupot nóg, potem — cisza. Denerwująca cisza. I znów łomot kolby. Tym razem używa sobie... Franek. „Otwierać! — krzyczy — Niemcy uciekli!”

Rzeczywiście uciekli. Zabrali zabitych i rannych, a zostawili karabin maszynowy, wycofując się do Leszna. Kłonowiec zajęli i już Niemcom nie oddali powstańcy polscy. Powstańcy: ośmiu zdecydowanych na wszystko chłopców, uzbrojonych w jeden karabin, dwa flowery i pięć dubeltówek.

Wtedy to na wsi wielkopolskiej pierwszy raz spotykam Polskę, zbrojną i wierzącą. Przedtem, w ogromnym niemieckim Berlinie Polskę — raczej fantazję, bajkę jakąś, niż rzeczywistość — wycarowują mi Sienkiewicz, opowiadania ojca, pieszczota matki i odmawiana codziennie modlitwa. Teraz spotykam Polskę realną, najrealniejszą właśnie w tym dziwnym stosunku 8:120.

Spotkanie z taką Polską, Polską powstałą, z Polską roku 1863 jest decydujące. Pozwala wierzyć w realizm romantyzmu polskiego.

Potem idą, płyną lata szkolne, pracy samodzielnej, lata polskie — własnego państwa, własnej twórczości i własnej krzywdy. Codziennie, na każdym kroku Polska jest tak rzeczywista, tak tkwiąca w nas samych, że aż niewidzialna, nie odczuwalna, zwłaszcza dla młodych pokoleń. I trzeba dopiero roku 1939, trzeba Września, aby twarzą w twarz spojrzeć znów tej samej, co przedtem, Polsce.

W ostatnim przed wojną czerwcu jestem w gospodarstwie chłopskim pod Kartuzami. Ziemia licha, rodzina liczna, synowie Kaszuby pracują w mieście, jeden w Gdyni, drugi po wielu miesiącach bezrobocia dostaje pracę w Gdańsku, niestety za cenę wstąpienia do hitlerowskiego „Arbeitsfront'u”. Stary jest zmartwiony, obiecuję mu coś zarządzić, może



wystaram się synowi o polski zarobek. Jednak — „co będzie w razie wojny?”

— Tam pracuję, ale bić się będzie tutaj, za mnie i o to — wskazał stary na rzadkie żyto.

To nie był chłop — on i wielu, i tysiące jemu podobnych — którego kupić mogli grasujący wtedy akwizytorzy Trzeciej Rzeszy. Przypomniałem go sobie, słysząc o walkach Batalionu Obrony Narodowej pod Kartuzami, o kosynierach, którzy w obronie Gdyni przed gdańskimi oddziałami zdobyli sobie kosami broń maszynową. Kosami na sztorc postawionymi, jak za Kościuszki. Oburzała się prasa niemiecka, niepokój swój pokrywając wyśmiewaniem. Niemiec boi się kossy, jak nie znosi wojny podjazdowej, walki wszystkich prowadzonej każdą bronią.

Można to nazwać nie przygotowaniem do wojny, to z czym spotkali się Niemcy w Gdyni, te kossy. Ale możemy także podejść inaczej: to było spotkanie z Polską, znowu tą samą. Bo ów stosunek 8:120 z 1919 roku nie wiele się zmienił. Takiego spotkania nigdzie w tej wojnie nie było. Tylko na naszej ziemi.

I właśnie taka Polska, porywająca się do walki, jest tym „natchnieniem ludzkości”, o którym na świat cały mówił prezydent Roosevelt. I jej los, jej przyszłość stanowi dzisiaj istotny sprawdzian realizacji głoszonych wolności Karty Atlantycznej.

Spotykamy się także z inną Polską — swarów, rozgrywek osobistych w życiu publicznym, z brakiem charakteru w małych rzeczach, w życiu powszednim...

Ale mimo wszystko, mimo straty stąd płynące, nie to decyduje o charakterze narodu, o kierunku rozwoju, tym bardziej, jeśli odbywa się poza Krajem.

Bo jakkolwiek ocenimy siebie: oni w Kraju, to naród, a nas jest garstka. I jakkolwiek rzucać będziemy na szalę tej wojny korzyści i straty, wartości swoje i obce: następują zmiany zasadnicze, nie do cofnięcia, powstają rozbieżności i zbliżenia, a wszystko to, z czym nieraz trudno dać sobie radę, wkracza głęboko w nasze najbardziej osobiste

życie. Oddaliśmy się od tego, co było przed wojną, my rzuceni losem czy decyzją własną na obczyznę. Ale w stopniu i w skali niepomrotnie większej dotyczy to Kraju, całości narodu. Rozmiar zmian, jakie następują wśród nas, daje pewne pojęcie o przeobrażeniach w Kraju, i o tym, jak między nami rośnie i powiększa się przestrzeń — przekonania, pragnienia i celów, hierarchii celów.

Już piąty rok trwa nasz rozdział od Kraju. Powrócimy do niego. Jest to największe nasze pragnienie, ten ped potężny — nasza największa siła. Ale nie ludźmy się, by kilka tylko dni starczyło na zasypianie różnic. Wrócimy przecież do Kraju, w którym pięć lat dyktatorem życia była szubienica, a wolność i sprawiedliwość wyjęte z pod prawa, do Kraju, którego nędza stanowi już dzisiaj najmocniej o jego przyszłej, prawdziwej demokracji. Nie to kieruje naszym życiem. Mimo wielu przemian, o których bardzo lubimy mówić, w istocie tkwimy ciągle jeszcze w życiu z przed wojny, w tamtej Polsce, w świecie zaginionym. Zdajmy sobie z tego sprawę!

Musimy wiedzieć, że od tego świata oddaliśmy się zbyt mało, a nie wiele z niego znajdziemy w Kraju. Spotkamy tam innych ludzi, inne stosunki, inne kręgi zainteresowań, nastawień, zmienioną strukturę społeczną i gospodarczą, odmienny system polityczny. Spotkamy inną Polskę, nie nową, jak to po Wrześniu głoszone z uporem godnym lepszej sprawy, ale — inną. Musimy być gotowi, nastawieni na to spotkanie, jeśli nie mamy tam przypominać tych typów, z których dzisiaj sami się śmiejemy, oglądając Bałuckiego „Dom otwarty”. Bo nam do Kraju dostosować się należy, a nie odwrotnie.

Jest pewne: „Świat zaginiony” — czasy przedwojenne wskrzeszą na scenach, ale nie uczyni tego życie. Znikną resztki polski dziewiętnastowiecznej, ciągle w nas żywe, zniknie dwór jako instytucja społeczna, jaką przed wojną jeszcze stanowił, zniknie demokracja na pokaz i nieposzanowanie pracy fizycznej, zniknie dużo, a wiele pojawi się nowego. Tu

będzie lepiej, tam gorzej. Ten świat będzie inny i on nas przyjmie, a nie my jego.

Spotkamy inną Polskę, niezmienną tylko w jednym: w walce wbrew cyfrom kalkulacji, w tym stosunku, który dziecku polskiemu w niemieckim Berlinie wyrośniętemu, tak utkwiał w pamięci. Zniszczenie i nędza ziem polskich z jednej, zwycięstwo z drugiej strony będą nie tylko dowodem prawdziwości tego stosunku, ale i ostrzeżeniem, i nakazem: aby nigdy już nie doprowadzić do zastosowania takiej proporcji, takiego „romantyzmu zbrojnego”. Bo cena jest zbyt straszna i nie da się często płacić. Lepiej niech i to przejdzie do — świata zaginionego.

Każde nasze i obcych spotkanie z Polską musi być spotkaniem — z realną, nie tylko duchową siłą.

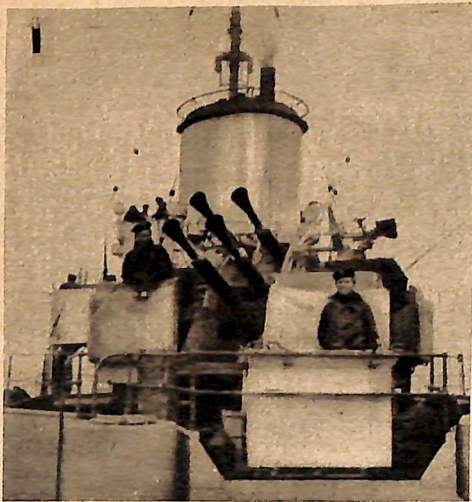
TADEUSZ PNIEWSKI

### NASZA OKŁADKA



Fotograf-lotnik w akcji

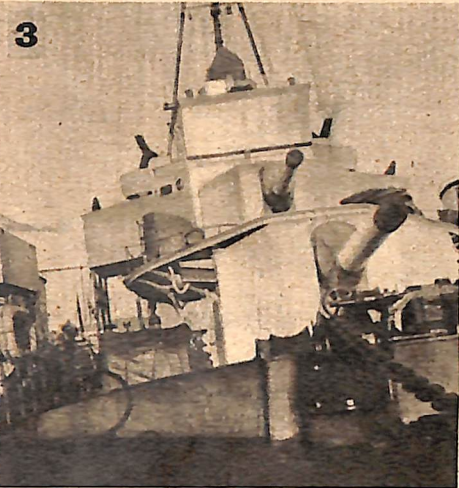
Fot.: Fox Photos LTD.



# Na pokładzie ORP „ŚLĄZAK”



- 1 Niezawodny „pom-pom”
- 2 Konserwowanie amunicji
- 3 ORP „Burza” w jednym z portów śródziemnomorskich
- 4 Zmierzch...
- 5 Nasze wilki morskie na Ślązaku
- 6 Pływający Niemiec
- 7 Wigilia na ORP „Ślązak”
- 8 Dinghy przybija do burty
- 9 Zmiana wachty



- Alarm!!!
- Nieprzyjaciel z prawej, — wysokość 800. Ognia!
- Nieprzyjaciel z lewej, — wysokość 700. Ognia!

To „Ślązak” walczy... Działa nie milkną ani na chwilę, posyłając wielu napastników na dno morskie.

ORP „Ślązak” chlubnie odznaczył się pod Dieppe i do dzisiaj w swej klasie kontrtorpedowców stoi na czele całej floty sojuszniczej, mając na koncie największą ilość strąconych samolotów nieprzyjacielskich. Później przychodzi harówka w konwojach na różnych morzach i szczególnie gorąca walka pod Salerno. Nieraz po drutach anteny „Ślązaka” przepływa sygnał SOS. Poważnie uszkodzona maszyna wodowała gdzieś na pełnym morzu. Krótki rozkaz — kąt kursowy! Cała naprzód! I smukła sylwetka okrętu mknie w kierunku, skąd nadano sygnał o pomoc. Bystre oczy przywierając do szkielec, przesuwają się uważnie po falach.

— Są! Widać wyciągnięte ręce. Burtą dobija „Ślązak” do pływającej dinghy i po chwili uratowana załoga angielska rozgrzewa się rumem i polską cup of tea. Wielu lotników uratował już „Ślązak” i wszyscy oni utrzymują z załogą polską najlepsze stosunki. Często wyłapywało się i Niemców, a jeszcze częściej spotykano pływające trupy z „Luftwaffe”.

Na morzach całego świata, różne spełniając zadania, pełni swą służbę okręt Rzeczypospolitej. W przerwach między jedną walką a drugą płynie normalne życie marynarza, którego poza uczuciem i falami radiowymi, nic wtedy nie łączy z najbliższymi, a dzieli wielka, bezkresna dal.

— Możesz mi wierzyć — mówił jeden z załogi „Ślązaka” — gdyby tak upo-

rządkować te wszystkie myśli, które tłuką się w głowie podczas samotnej i ciemnej nocy, rozświetlonej tylko błyskami wystrzałów, to możnaby stworzyć najcudniejszy poemat o najwymowniejszej prawdzie. Jednak wtedy, kiedy cały okręt drga wybuchami pocisków, a pułap drży od szumu motorów, milkną odradzające wspomnienia, gasną myśli i kurczą się problemy wielkie i małe. Wtedy mówią tylko działa i niestrudzony pom-pom z orlikonem. Jedna, jedyna cząstka świadomości wyolbrzymiona do ogromnych rozmiarów, jest przeraźliwie jasna: trzeba strzelać bardzo spokojnie i celnie.

Wiele jest miast, w których wieczorami świecą neony, a w pięknych lokalach orkiestry grają do tańca strojnym paniom. I wtedy rzadko kto myśli o tym, że na okrętach tysiące marynarzy czuwa nie-

stannie i każdej chwili spodziewać się może śmiercionośnej torpedy, czy bomby. Nie dziwcie się więc, jeśli czasem spotkacie pijanego marynarza. W swych rzadkich wyjściach na ląd musi on się spieszyć z konsumpcją przyjemności. Nie żałujmy im szczerego uśmiechu przyjaciela, ani serca. Wielkość zasług jest równa ich skromności. Marynarze „Ślązaka” słysząc, że chcą coś o nich napisać, zakrzyknęli mnie: „Ani się waż! Nic o naszych przeżyciach bojowych! To nas tylko krępuje”.

Rozumiem was, wiem, że słowa w porównaniu z życiem na morzu wydają się istotnie małe i nie ważne. Ale jedno jest słowo, które dla nas wszystkich ma największy ciężar gatunkowy. To — powrót. Powrót do Kraju, do — Gdyni.

A. Juralewicz



# POLSKO AMERYKAŃSKIE BRATERSTWO BRONI

Armia polska gościła niedawno generała Pattona, dowódcę jednej z armij amerykańskich, żołnierza doświadczonego, uczestnika pierwszej wojny światowej.

Generał amerykański przybył do obozu wojska polskiego, gdzie w Egipcie, w towarzystwie Dowódcy APW generała Andersa oraz wyższych wojskowych brytyjskich i amerykańskich. Powitały ich hymny narodowe — amerykański, brytyjski i polski, oraz kompania honorowa saperów. W kasynie oficerskim podczas śniadania nastąpiło bliższe zapoznanie przedstawicieli trzech armij sojusznicych. Nastrój był niezwykle serdeczny i przyjazny. Orkiestra przygrywała melodie polskie, oberki, kujawiaki i mazurki, które gościom bardzo się podobały. Generał Anders zwrócił się do generała Pattona, stwierdzając w serdecznych słowach, że pierwsze z nim spotkanie wnosi od początku serdeczną nić koleżeństwa i braterstwa broni. „Witamy w generale Pattonie — mówił Dowódca APW — dzielnego żołnierza czołgów jeszcze z tamtej wojny, żołnierza, który walczył zwycięsko w ostatnich zmaganiach w Afryce północnej, na Sycylii i we Włoszech, żołnierza, który nawiązuje dzisiaj najbliższy kontakt z Armią Polską”.

Jako symbol łączności wojska polskiego z armią Stanów Zjednoczonych, gen. Anders wręczył generałowi Pattonowi orzełka, a jako znak szczerzej przyjaźni i braterstwa broni, noszoną na rękawie syrenę, herb bohaterkiej Warszawy. Przemówienie swe zakończył gen. Anders okrzykiem na cześć generała Patto-

na, a orkiestra odegrała marsza generalskiego.

Generał Patton podziękował serdecznie i oświadczył m. in.: „Jest wielkim zaszczytem dla żołnierza amerykańskiego być podejmowanym przez wojsko polskie, przez wojsko, które mimo ciężkich przeżyć i trudnych warunków nie załamało się i które ożywia mocny duch walki. Wierzę głęboko, że nadejdzie chwila, kiedy wojska polskie, ramię przy ramieniu, z wojskami brytyjskimi i amerykańskimi wkroczą zwycięsko do Warszawy. Te symbole, które dziś otrzymałem, będę nosił przez całe życie jako drogie memu sercu pamiątki”.

Po tym przemówieniu orkiestra odegrała hymny amerykański, brytyjski i polski. Generał Patton mając już na ramieniu znak syreny, a na kołnierzu orzełka, powiedział: „Nigdy nie sądziłem, że danym mi będzie wyjść cało z tej wojny. Teraz jednak, kiedy noszę odznaki polskie, wierzę, że przeżyję zawieruchę wojenną”. Do słów tych gen. Anders dodał: „Panie generale, dojdziemy razem do Warszawy” i w tej chwili rozległy się dźwięki piosenki o Warszawie.

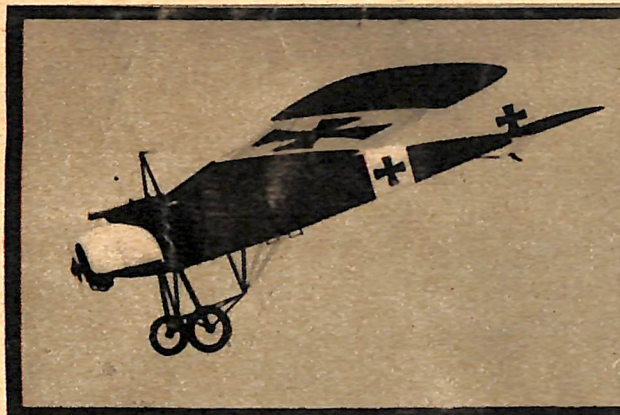
Przypieczutowaniem tego braterstwa broni było wręczenie generałowi Andersowi odznaki jednej z armij amerykańskich. Obaj generałowie udali się potem na przegląd karierów Ułanów Karpaccy, które zaprezentowały ćwiczenia bojowe. Generał Patton obejrzał jeszcze pracę saperów i ich warsztaty oraz obserwował pokaz strzelania artylerii.

Cała wizyta odbyła się w atmosferze ogromnie serdecznej. Była to wizyta przyjacielska.

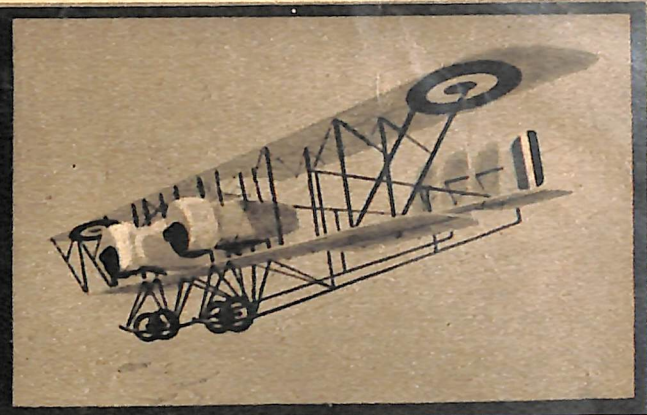


Gen. Patton w towarzystwie D-cy APW gen. Andersa

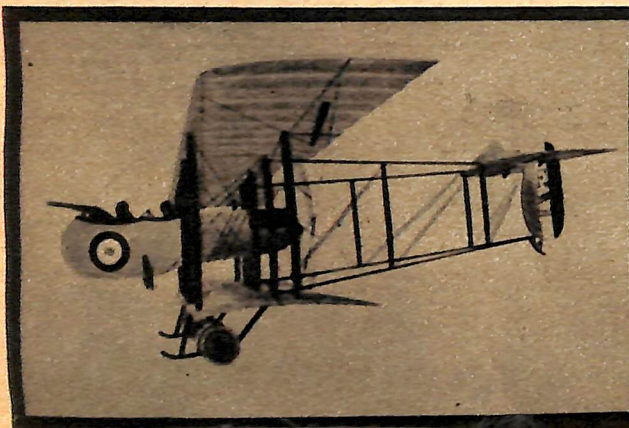
## LOTNICTWO PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ



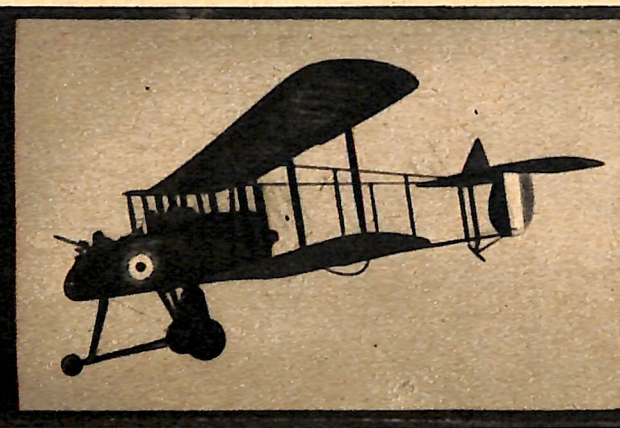
Fokker (NIEMCY)



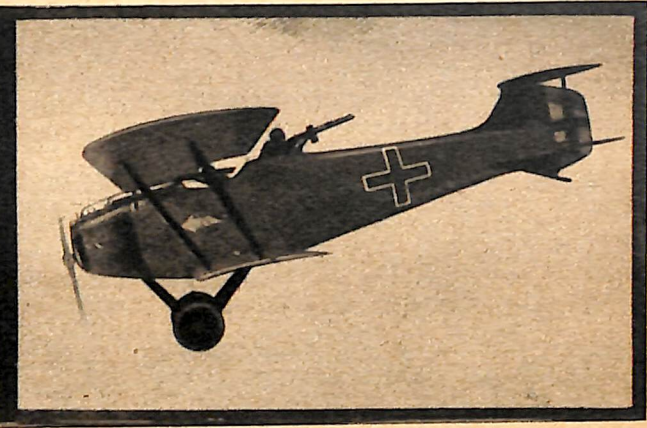
Caudron G-6, bombowiec (FRANCJA)



Farman E 40-P (FRANCJA)



F. E. 2-B (W. BRYTANIA)

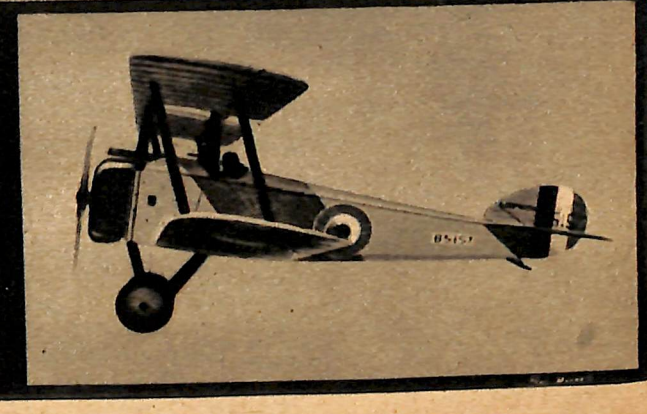
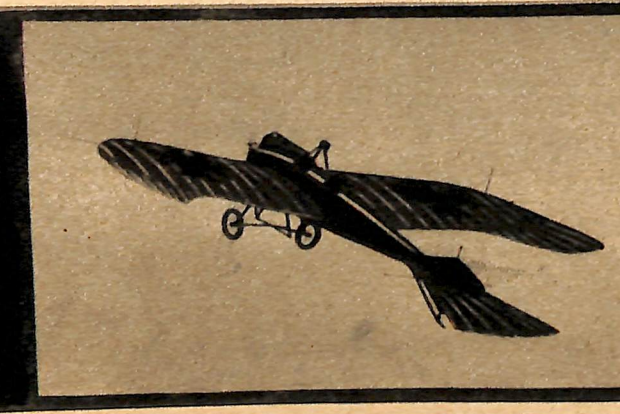
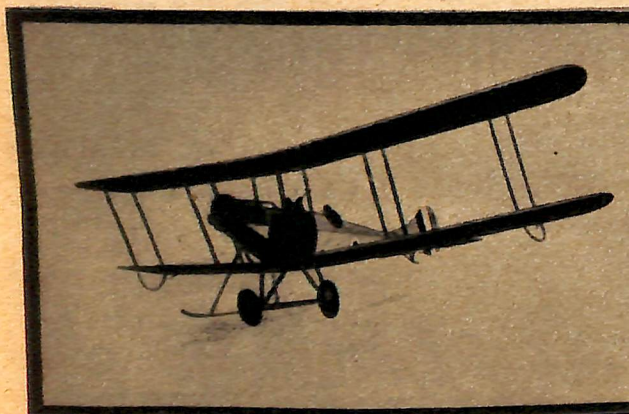


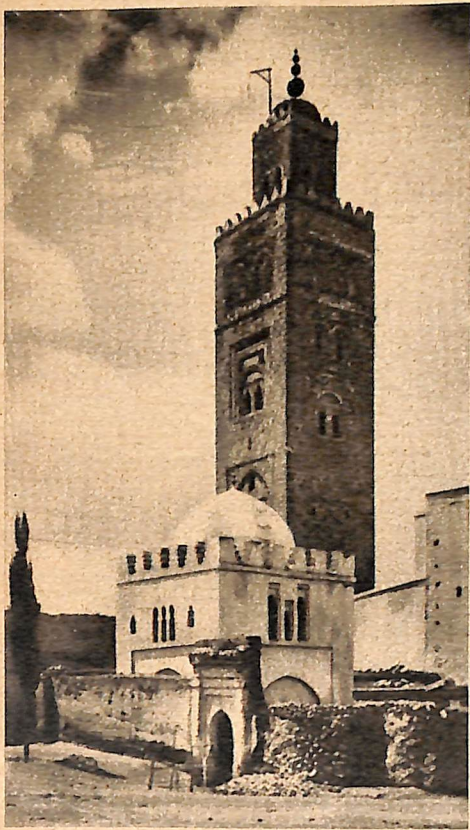
Hannoveraner (NIEMCY)

De Haviland BE 2 (W. BRYTANIA)

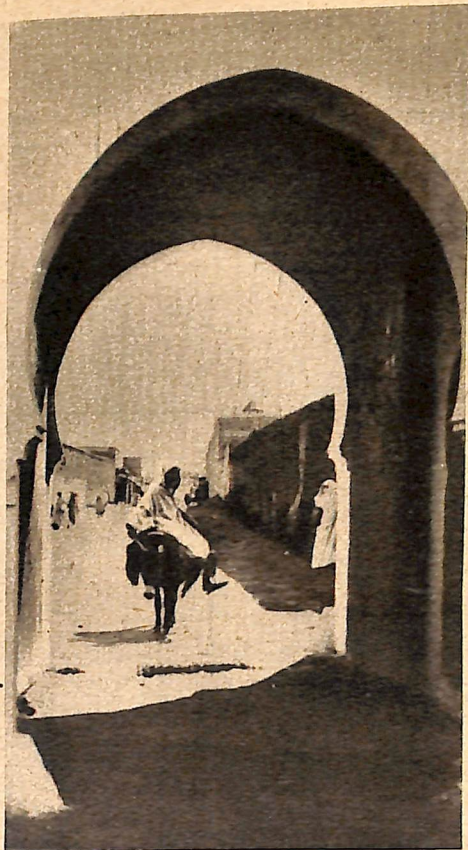
Monoplan Taube (NIEMCY)

Sopwith Camel (W. BRYTANIA)





La Coutoubia



Marrakech — brama miejska

# SŁOŃCE POŁUDNIA

JERZY POMIAN



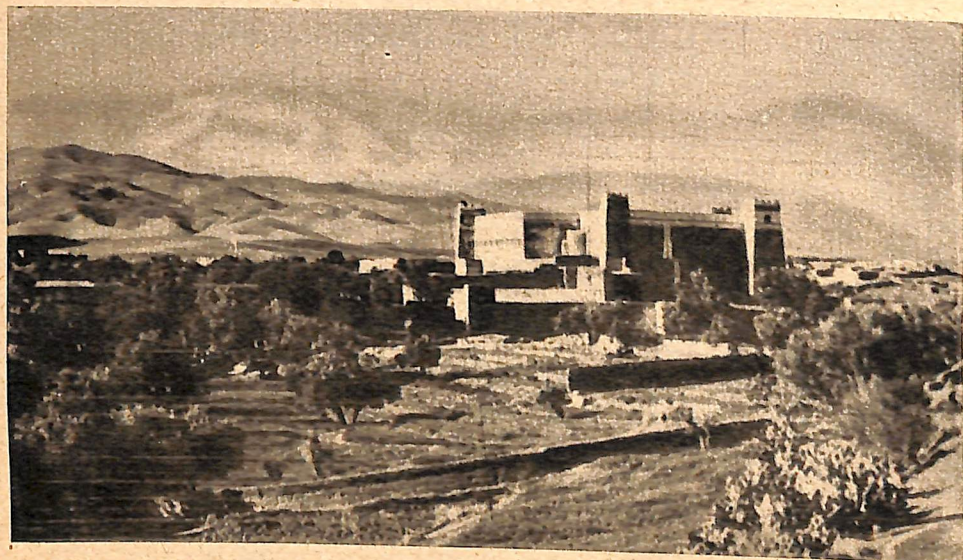
Marrakech — Casbah

Do Marrakechu zbliżamy się wczesnym rankiem. Czteromotorowy Douglas sunie majestatycznie, niezachwiany ani podmuchem porannego wiatru, ani łagodnym schodzeniem do lądowania. Przedświt oświeca delikatnie kontury gór wybiegających naprzeciw i zabarwia na różowo piaszczyste wybrzeże morskie. Cała instynktowna obawa przed dalekim lotem, obawa zrozumiała u kogoś, który pierwszy i ostatni lot odbył w roku 1924, opuściła mnie po tej dziesięciogodzinnej podróży, wygodnej jak w fotelu, bezpiecznej, jak w domu i ciepłej jak w uchu. Bo samoloty amerykańskie są ogrzewane nie na żarty. W tej temperaturze, zwykłej dla kogoś, kto bywał w domach amerykańskiej klasy średniej, źle czuje się

mieszkaniec Londynu, tej „stolicy wygasłych kominków”.

Jeszcze kilka minut płyniemy ponad miejscowościami nadbrzeżnymi i, zataczając łagodny łuk, lądujemy na niekończącym się, olbrzymim lądowisku w Marrakechu. Właśnie świta. Światło poranne zabarwia wszystko na tajemnicze, pastelowe kolory. Góry w oddali są różowe, śnieg na nich — niebieski, ziemia w pobliżu betonu lądowiska rdzawo czerwona, a fantastyczne, choć brudne turbany i chałaty tubylców snujących się po lotnisku — delikatnie różnobarwne. Schodzę powoli, obciążony pakunkami i ciepłym płaszczem, który miał być niezbędny podczas „mroźnego” przelotu. Teraz dopiero, w Afryce, czuję zimno. Prawie

Pokryte śniegiem szczyty Atlasu



Czarne, tajemnicze oczy...

lodowaty wiatr uderza w nas od gór Atlasu. Naprzeciwko mnie kuli się z zimna tubylczy nadzorca robót „hadzi”, w zielonym turbanie i różowym chałacie. Jest stary, przygarbiony, ale dostojny w poczuciu władzy nad współziomkami, których pilnuje w ważnej czynności zamiatania kurzu na betonie lotniska. Pokrzykuje na nich, ale mimo to, co chwila stają, opierają się na miotłach i tak trwają, aby po paru minutach znowu przesunąć trochę kurzu z miejsca na miejsce.

Śniadanie jemy w gościnnym kasynie amerykańskim. W ogóle dla gościnności Amerykanów, dla ich sprężystości organizacyjnej, uprzejmości i prostoty trudno znaleźć dość słów pochwalnych. Załoga, przeważnie młodzi chłopcy, przedstawia obraz jakiejś specjalnej dyscypliny, raczej przemysłowej niż wojskowej. Ale dyscyplina ta jest imponująca. Obsługa portu, kontrola podróży, hale bagażowe — wszystko robi raczej wrażenie wielkiego przedwojennego aerodromu. Ani śladu drillu wojskowego — ale pedantyczny porządek, punktualność i celowość zarządzeń. A przy tym równość prawdziwie demokratyczna. Siwi pułkownicy stają w „ogonku” do kontroli za szeregowymi-pasażerami, których los, albo litera nazwiska wysunęła na pierwsze miejsce. Jedyne wrażenie militarne, to wielkie rewolwery zwisające u pasa... obsługi bagażowej. Zdaje się, że to jest specjalny ukłon w kierunku tubylczych pomocników pomagających przy wyładowywaniu samolotów i pamiętających, być może, rozbójniczą przeszłość swoich ojców.

Po śniadaniu dowiadujemy się, że wskutek złych warunków atmosferycznych dalsza podróż jest wstrzymana i czeka nas postój, być może dłuższy, w Marrakechu. Lokują nas we wspaniałym hotelu Mamounia, zajęтым obecnie przez Amerykanów i prowadzonym z pedantyczną czystością i porządkiem. Hotel, zbudowany w stylu marokańskim, w sadyce pomarańczowo-mandarynkowym, u wrót tubylczego miasta, stanowi rażący kontrast ze skromnością miasta francuskiego i ze wschodnim, prawdziwie afrykańskim miastem tubylczym. Wspaniale prezentuje się też olbrzymia sala jadalna, otoczona sadem pomarańczowym. Gałęzie drzew oraz jakieś ciemno fioletowe pnącza, których nazwy nie znam, zagląдают przez okna. Ptaki wlatują i wylatują, z zainteresowaniem obserwując jedzących.

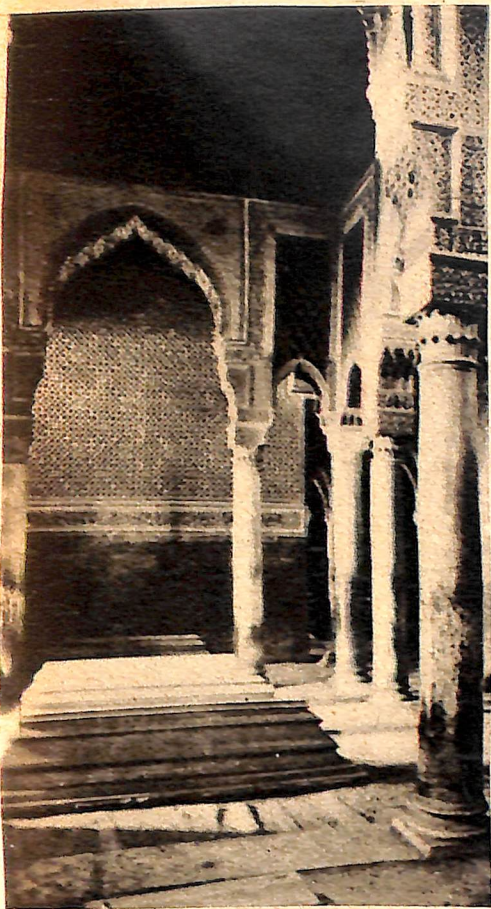
W samolocie spotkałem dwóch Polaków amerykańskich — ks. Wycisko i pana Wnukowskiego, reprezentantów amerykańskich organizacji katolickich. Udają się do Afryki i Azji, aby odwiedzić polskie osiedla uchodźcze. Byli w Londynie, nawiązali kontakty z władzami pol-

skimi, a obecnie jadą przekonać się osobiście, czym mogą pomóc rodakom. Mówią po polsku doskonale, mimo że obaj są urodzonymi Amerykanami. Jemy razem lunch, po czym zwiedzamy stare miasto i jego ogromną dzielnicę targową „Les Souks”.

Pierwsze wrażenie jest poważnym zawodem. Zamiast krainy z tysiąca i jednej nocy, którą spodziewałem się znaleźć na Wschodzie, widzę miasto ruin, wyglądające jak po bombardowaniu, niewypowiedzianie brudne, zatłoczone tłumem nędznych, odzianych w łachmany tubylców, handlujących nie dającymi się bliżej określić towarami — jakieś skrawki skóry, połamane patyki, resztki odzieży, jakaś pasza dla osłów, przypominająca naszą koniczynę i pomarańcze, całe góry pomarańczę!

Dopiero po kilku godzinach błądzenia po zaułkach „Souk” — dusza Wschodu poczyną przemawiać. Tu i ówdzie prawdziwie piękna koronka odrzwi, tu i ówdzie pełne tajemniczego uroku wrota rzeźbione, prowadzące do meczetu. Na drzwiach takich z reguły napis po angielsku, zabraniający żołnierzom wstępu. W Marrakechu wnętrza meczetów nie są dostępne dla niewiernych. Ten i ów z pośród szaro i jednobarwnie przyodzianych tubylców uderza specjalnym typem fizycznym wojownika, zwłaszcza szczególnymi oczyma, wyróżniającymi go z tłumu. Wrażenie potęguje się, gdy dochodzę do placu Djemaa el Fna, na którym odbywa się nieustanny jarmark. Tu już prawdziwa Afryka. Tłum, najprzeróżniejszy, najdziwniej przybrany, przetacza się z miejsca na miejsce. Zaklinacze wężów, magicy, akrobaci, politykacze mieczów, popisują się swym kunsztem na każdym kroku, otoczeni tłumem widzów. Europejczyk należy raczej do rzadkości — bo żołnierzom amerykańskim nie wolno chodzić do miasta tubylczego ze względów sanitarnych. Ale widać od czasu do czasu cywilnego Francuza, albo fertyczną Francuzkę, niemal Paryżankę, przeciskającą się przez zatłoczoną jezdnię.

Już od kilkunastu minut jestem otoczony amatorami na przewodników. Czuję, że muszę zrezygnować ze swobody i wybrać jednego, aby pozbyć się pozostałych. Zwraca moją uwagę człowiek ubrany w dość czysty, biały chałat, z oryginalnym turbanem na głowie. Zaleca się niezłą francuzczyzną, a potem, gdy nie odpowiadam, gorszą nieco angielszczyzną. Udam, że nie rozumiem. Arab, bo jest za jasny na Berbera, próbuje po niemiecku! Zaciekawiony tymi zdolnościami językowymi mówię po angielsku — że nie jestem Niemcem. Ogarnia mnie badawczym spojrzeniem. Nagle twarz mu się rozjaśnia. Przymrużone fi-



Marrakech — wewnątrz pałacu sułtana

marokańsku. Zachowano pokój, w którym zwykle mieszkał marszałek Lyautey. Prostota tego pokoju i sali przyjęć rezydenta świadczy, że wypełniała go kiedyś wielkość, która nie potrzebowała ram, aby wzbudzać szacunek.

Miasto francuskie, które zwiedzałem na drugi dzień, wywiera wrażenie przykre. Przypomina miasta Francji, z okresu bezpośrednio po zawieszeniu broni. Taki sam nastrój przygnębienia, takie same braki żywności i towarów. Gdzieś niedługo tylko wielkie afisze Giraud — z napisem: „Un seul but — la victoire!”, gdzieś niedługo portret de Gaulle'a. Francuzi w rozmowach nie tają przygnębienia, motywowanego co prawda przede wszystkim warunkami życia codziennego, które są istotnie ciężkie, ale wyczuwa się że przygnębienie to ma głębsze przyczyny, płynące z rozdziału, jaki istnieje w społeczeństwie francuskim i z obawy przed tym, co niesie przyszłość.

Sprawy polskie wśród mieszkańców francuskiego Marrakechu są dalekie i obce. Marrakech jest może jedynym skrawkiem Afryki, gdzie fala Polaków żołnierzy i uchodźców nie dotarła. Dopiero obecnie dociera tu Polak, żołnierz amerykański. Podczas mojej podróży, czy to w lotnictwie USA, czy w biurach i urzędach Stanów, spotykałem się niemal co chwila z rodakami. Niekiedy byli to Polacy, dobrze mówiący po polsku — częściej Amerykanie, o nazwiskach polskich, umiejący ledwie parę słów w języku ojców, ale gorąco przyznający się do polskiego pochodzenia. Spotkałem ich zarówno wśród żołnierzy, jak i wśród oficerów. Pewien pułkownik, o nazwisku brzmiącym z francuska — po kilku minutach rozmowy, wcale niezłą polszczyzną oświadczył mi, że matka jego była Polką amerykańską i że nauczyła go kochać i szanować Polskę.

Na trzeci dzień mego pobytu w Marrakech, kiedy przybyłem na lotnisko, aby dowiedzieć się o dalszych losach mojej podróży, zauważyłem jakiś inny, niż zwykle, ruch i podniecenie. Znajomy oficer amerykański zapytał mnie z uśmiechem: „Czy widział pan już swojego Wodza Naczelnego?”. Okazało się, że generał Sosnkowski, w powrotnej drodze z Bliskiego Wschodu, zatrzymał się w Marrakech i właśnie za chwilę przybędzie na lotnisko, aby odlecieć do Rabatu. Wybiegam na runway i istotnie w odległości kilkuset metrów spostrzegam samolot z polskimi znakami. Obok kręciła się grupa lotników polskich i stało parę osób. Po chwili witam się z otoczeniem Wodza Naczelnego i wspólnie czekamy na jego przyjazd. Nadjeżdża w towarzystwie wyższego oficera francuskiego. Po krótkiej rozmowie z osobami, które go przyszedły pożegnać, oraz po fotografii w otoczeniu załogi samolotu, wsiada do aparatu. Kiedy śledzę oczyma odlatującą maszynę, zbliża się do mnie żołnierz amerykański i bardzo łamaną polszczyzną, zapytuje o nazwisko Wodza Naczelnego. Notuje sobie nazwisko „Polish C. i C.” w notesie. Jest on Polakiem z Teksas.

Jeszcze kilka dni zatrzymano mnie w Marrakechu. Niestety, spodziewając się

luternie oko-i przyjazny, choć nieśmiały — uśmiech wydaje się mimo turbanu dziwnie swojski. Nagle: — „A może to Polak?” pada z ust „Araba” w dobrej polszczyźnie. I ciszej „Ja też polski...” A gdy zaskoczony, przyznając się, że jestem Polakiem, dodaje: „Ja już Polski nie znam, ale ojciec z Kalisza... Mieszkałem w Algierze. Teraz od piętnastu lat tutaj...” Oczywiście angażuję go i dobrze na tym wychodzę. Odpędza w zajądłej arabszczyźnie natrętów i pokazuje mi wszystko, co tylko pragnę widzieć. Okazuje się, że jest Żydem, urodził się w Algierze, z obojga rodziców pochodzących z Polski, wie to i owo o starym kraju, no i dobrze mówi po polsku. Ma kantor wymiany i sklep z pamiątkami marokańskimi, a w wolnych chwilach oprowadza Amerykanów, faktorując przy zakupie dywanów i służąc za tłumacza.

Zwiedzamy grobowce dynastii Saadi, meczet el Mansour, pałac ostatniego beja, obecnie pałac rezydenta francuskiego, szkołę muzułmańską z XVI stulecia im. Ben Youssef i meczet Koutoubia. Niektóre z tych zabytków istotnie ciekawe, zwłaszcza grobowce — ale skromniejsze i mniejsze w rozmiarach, niż sądziłem z fotografii, które nieraz widziałem. W pałacu el Bahja, wspaniały dziedziniec, z fontanną i sadzawką po środku, cały wykładany mozaiką, daje pojęcie o życiu przed okresem zajęcia kraju przez Francuzów. Izby i sale pałacu zostały urządzone na rezydencję wielkorządcy francuskiego, gdy bywa w Marrakech. Niektóre przypominają wnętrza francuskie z końca XIX stulecia — większość urządzona po

Uliczni handlarze



Taniec wojowników



Tkacz przy pracy

odlotu z dnia na dzień, nie mogę sobie pozwolić na żaden dalszy wypad, ani do Casablanki, ani do Rabatu. Za to Marrakech i okolice poznałem dobrze, wędrując pieszo, albo poruszając się na lokalnych „rikszach” — ciągniętych przez oberwańców na rowerze-tandemie, przytwierdzonym do wygodnego powozika na dwóch kołach. Długo będą mi tkwiły w pamięci ogrody palmowe, gaje pomarańczowe i mandarynkowe, otoczone wysokimi na 20 metrów murami dawnych szajców. Długo także będę pamiętał te bezbarwne, a jakże tajemnicze postacie tubylców, żyjących z niewiadomej pracy i prowadzących niewiadome i zagadkowe dla mnie życie. Te zakwefione kobiety, wysiadujące lub drzemające w słońcu pod murami, obojętne na ruch i gwar, i te tajemnicze zaułki „out of bound” — a mimo to pełne rozeseimianych i niezdrowo podnieconych żołnierzy amerykańskich.

Pierwsze moje zetknięcie się z Afryką — jest nie takie, jak się spodziewałem. Zamiast upału — chłód, niemal taki jak w dalekiej Szkocji, zamiast słońca — zwały chmur, spływających z Atlasu, a zamiast mieniących się kolorami strojów — szary chałat mieszkańców Marrakechu. Dopiero w ostatnim dniu pobytu, gdy chmury ustąpiły, i nad Marrakechem rozpostarł się nieskalany błękit nieba — zrozumiałem, w czym leży sekret Afryki.

Szare zaułki i szare chałaty nabrały barwy, brud zmienił się w patynę — a fioletowe pnącza, pokrywające czerwone mury, i uginające się pod złotymi owocami drzewa greprutowe, zagrały nieopisaną gamą barw, którą potrafi wydobyczyć tylko — Słońce Południa.

W cieniu meczetu



# „Ecco il nemico”

Reportaż własny „Darady” z Włoch

Od jednego z polskich komandosów otrzymaliśmy korespondencję, którą drukujemy poniżej.

Smętne, ołowiane szare jest styczniowe niebo włoskie. Dżdżyste, wilgotne powietrze podcina porywisty północny wicher. Często padają deszcze. Jest chłodno, nieprzyjemnie. Wyimaginowanym, konwencjonalnym obrazom literackim kłam zadaje dojmująca rzeczywistość. Nie ma słońca, piękna, lazuru, malachitów — jest szarzyzna dni powszednich, są doznania dogłębne i coś, co napawa smutkiem, różnorakie budząc refleksje.

Dwoma ostrymi cyplami, jak bratnimi ramionami, ład obchwytuje zatokę tarancką. Długi obrótowy most żelazną kłamrą łączy ramiona. Na wąskich przylądkach przykucnęło miasto: z jednej strony stara, portowa dzielnica, z drugiej — część główna z wielopiętrowymi, nowoczesnymi domami. Z dala, na tle rozlewiska wodnego, we mgle i czepcu chmur, miasto — pozbawione wyrazistych konturów — wygląda jak nierealny płaskowyż, umieszczony pomiędzy niebem a wodą. Niekiedy, gdy poprzez oporny chmur przebija się promień słoneczny i lustrzana tafla zatoki rozdrabnia go na tysiące złotych odblasków — skośne refleksy padają na zszarzałe miasto ożywiając je efemerydą światła i ciepła.

Na moście, pełni służbę marynarka włoska i angielska żandarmeria drogowa. Ogniści bruneci z Regia Marina i złotowłosi piechurzy z MP współpracują zgodnie dla dobra obu monarchów i podwładnych ich miłościwemu panowaniu. Często most zostaje odchylony; przez gardziel wodną przeemykają jednostki morskie. Trębacz Włoch, hejnałem wita własne statki, przy innych milczy, symbolicznie milczy. Podobnie milczy port, chociaż bardziej dyskretnie, powścią-

gliwie. Za to ryczą syreny potworów transoceanicznych, wrzeszczą pomniejsze monstra morskie, diabli wiedzą, życzliwie, czy urągliwie.

Taranto — miasto dwu mórz — sięgające historią początków średniowiecza, a legendami — mitów olimpijskich, powstało na ruinach metropolii greckiej. Wzniesione na skalistym, ostrym cyplu, łączy się z lądem stałym za pośrednictwem starego, kamiennego mostu. Legenda głosi, że bóg mórz Neptun, na skutek jakichś tam tarapatów osobistych, chcąc okazać swą siłę, wypłynął tu na grzbiecie delfina, uzbrojony w puklerz i trójząb. — „Tu — oświadczył — wybuduję miasto mego imienia, którego mieszkańcy będą panami morza”.

W konsekwencji powstał nad zatoką gród, nazywany początkowo Tarentum, co oznacza potęgę morską. Przez kilka wieków Tarentum było przybytkiem estetów, filozofów i artystów, co uzewnętrzniało się w miejscowych obrzędach religijnych, w architekturze i sztuce. Wiele pięknych portyków, świątyń, statui wzniesiono w owym okresie. Wirgiliusz gościł tu czas długi.

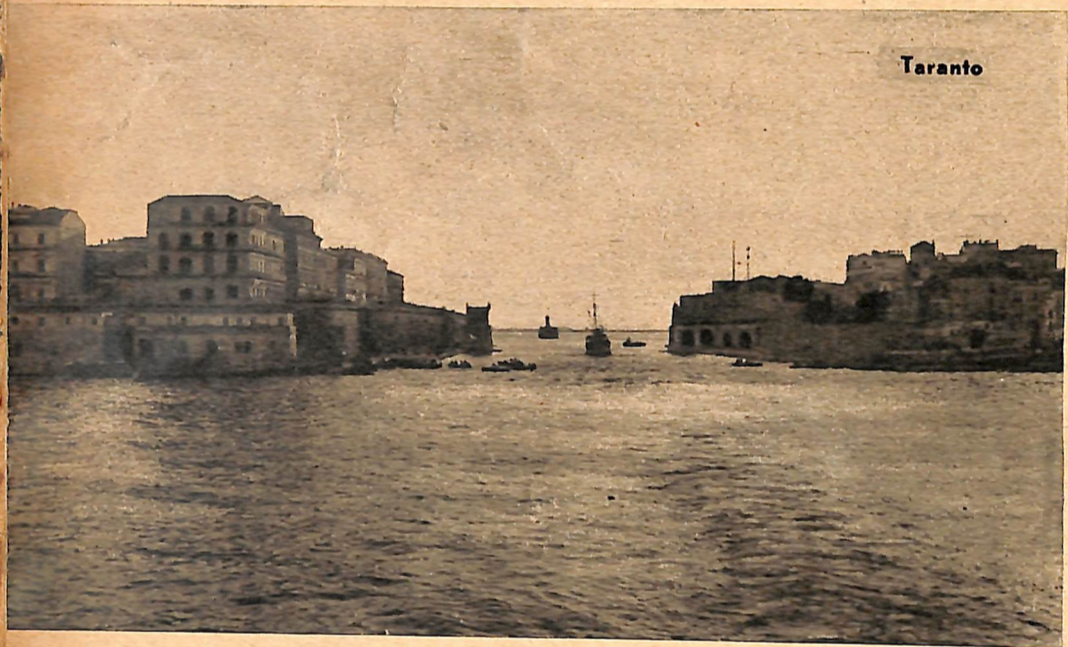
W miejscu, gdzie obecnie przepływa kanał, dzielący miasto, starożytni strategicy wzniesli zamek warowny Sant Angelò, obwadzony szeroką, choć płytką fosą, tworząc obronny podówczas bastion morski. Miasto i zamek posiadają burzliwą historię. Walki, upadki, inwazje, rozkwit i ponowne upadki — jej karty. W czasach starożytnych barbarzyńcy często „odwiedzali” miasto, burzyli, grabili i uchodzili, pozwalając na odbudowę. W nowszych czasach, jak zresztą na całe południowe Włochy, często docierały tu armady Hiszpanów i Francuzów (Ludwik II, Ferdynand I). Za króla Umberta I, ojca Wiktora Emanuela, zbudowano kanał i most obrotowy, umożliwiając okrętom wpływanie do zatoki wewnętrznej Mare Piccolo. Zamek odrestaurowano i zainstalowano w nim jeden z urzędów morskich.

Zabytki miasta odpowiadają jego wiekowej tradycji. Museo Nazionale posiada okazały zbiór osobliwości i pamiątek przed- i historycznych, heleńskiej i romańskiej cywilizacji. Epokę kamienną i bronzową rzeczowo przedstawiają umiejętnie dobrane eksponaty. Niestety, część zbiorów nabył Louvre, część — Muzeum Narodowe w Neapolu. W tym przechowują złoty „medal pamiątkowy”, bity przez mieszkańców Tarentum dla Pyrrusa (III w. po Chr.).

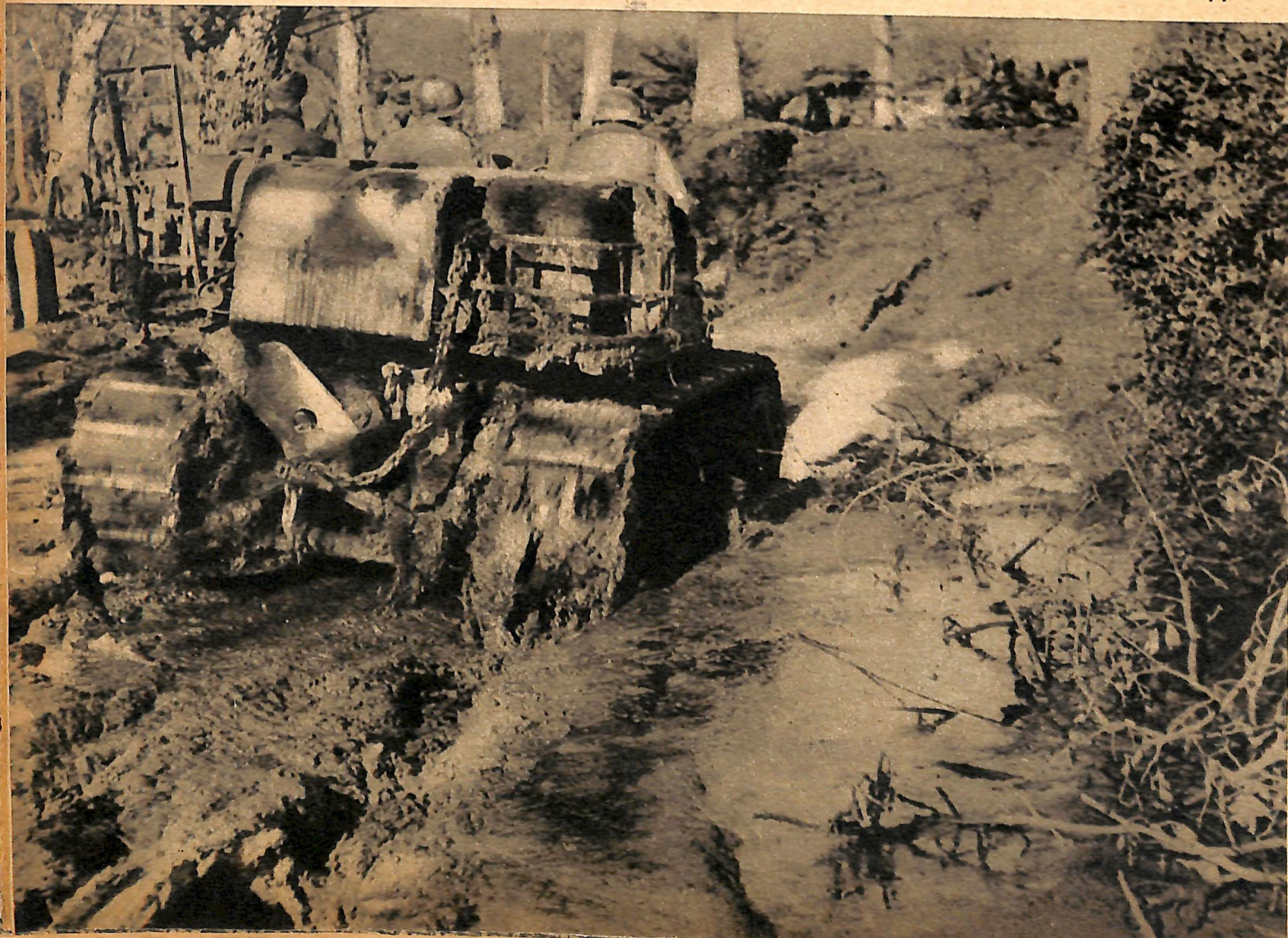
Przy starej, oryginalnej via del Duomo wznosi się katedra NMP. Wniebowziętej, aczkolwiek popularnie mieszkańcy miasta zwą ją imieniem św. Cataldo — patrona i mieszkańca Taranto. (Żył w VII w. po nar. Chr.). Świątynia wielokrotnie ulegała przebudowom; obecnie stanowi mieszaninę stylów. Szczególnie piękny jest mурowany ołtarz barokowy z bogato złożoną ornamentyką. Na tejże via del Duomo pokazują ruiny świątyni Po-



Taranto



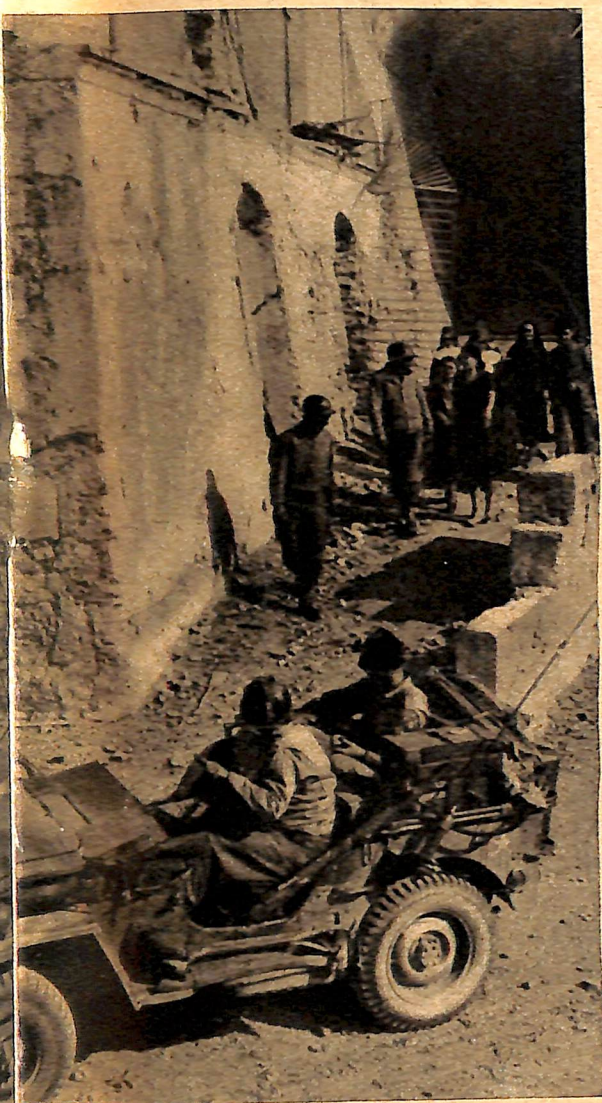
Błotol Głębokość: dwie stopy





Radosne powitanie

„Jeep” wszędzie pierwszy



Brytyjski patrol konny



napisy pozostały, zdeaktulizowały je wydarzenia, nikt nie raczył ich dostrzec. Na ich miejsce przyszły barwne portrety Roosevelta i Churchilla oraz antyniemieckie odezwy i plakaty. Rozpowszechniana jest karykatura, przedstawiająca niemieckiego oficera, w którego monoklu odbija się zarys szubienicy. Napis: „Ecco il nemico” — to jest wróg! Włosi niechętnie mówią o najbliższej przeszłości i o upadłym reżimie faszystowskim, ich antygermańskiego nastawienia nie umniejszyło kilkuletnie „braterstwo” broni.

Budna, obdarta dzieciarnia biega po wąskich uliczkach przybrzeżnych. Prosi natrętnie o papierosy, zapałki, czekoladę. Ojcowie tych dzieci — to rybacy z Mare Piccolo, robotnicy portowi i żołnierze, walczący lub czasowo zdemobilizowani. Biedota, gnieżdżąca się w tej dzielnicy upodobiła się do murów, ciasnych, zapadłych, zabłoconych, udekorowanych łopocącymi flagami suszącej się bielizny. Kontrastowo rozległością i kolorystyką wygląda okolica z południowo-europejską florą i prostokątami soczystej, pieszczącej oko oziminy.

Pochmurne, rzadko rozjaśnione przez słońce jest zimowe niebo włoskie. Siłą niezmiennego układu przyrody nastąpi wkrótce okres odrodzenia. Być może nastanie zarazem i wiosna polityczna tego kraju, która — jak twierdzi marsz. Badoglio — przyniesie ostateczne zwycięstwo i zapewni Włochom należne im miejsce wśród pokój miłujących narodów.

Jan Kielewicz



W górach muły są nieodzowne



Na stanowiskach górskich



Amerykański zwład w akcji



sejdona. Spod grubej warstwy narzuconej przez czas ziemi sterczy kolosalnych rozmiarów kolumna z kapitelem doryckim.

W mieście wzmożony ruch. W beztwarzowym tłumie przewaga mundurów sojusznicznych i włoskich. Na via d'Aquino i Piazza della Vittoria, gdzie wzbija się ku niebu wspaniały pomnik ku czci poległych w obecnej wojnie — spacerują romantyczne parki. Palmy i cyprysy, jak dawniej, pogrążone w zimowej powadze. Po jezdni przemykają małe, zgrabne Fiaty, kołyszają się na szynach tramwaje, człapią jednokonne karoce. Szczególnie dużo rowerzystów; bicykle niemieckie, standartowe. W sklepach pustawo, w rozległych witrynach resztki towaru, przeważnie gatunki, które nie mają popytu. Stan ten jest po części zasługą byłego sprzymierzeńca. Wymowny jest wygląd piękności taranckich w eleganckich futerkach... sandałkach i cerowanych pończochach. Dużą ma podaż wino, pomarańcze, ciastka. W YMCA i NAAFI Włoszki sprzedają herbatę i sandwiche. W kioskach dużo tanich wydawnictw aktualnych.

Sytuacja nader pokojowa.

Głębsze ślady wyryła wojna w dzielnicy portowej. Tu i ówdzie widoczne są skutki bombardowania: kupy gruzów, poskręcane belki żelazne, ramy okienne bez szyb. Co murek — napis „Duce a noi!” zamalowany obecnie farbą, niektóre



Na lewo: W Nowym Jorku w biurach — między jednym telefonem a drugim, na małych elektrycznych maszynach, szyją stenotypistki bieliznę szpitalną

Na lewo niżej: W ramach Lend-Lease — samoloty amerykańskie przybywają do Anglii. Oto jeden z nich

Na prawo: Angielskie dzieci w amerykańskich ubraniach

# „LEND-LEASE”

Co to jest „Lend-Lease”? Nazwa ta powtarza się często w prasie, padają przy tym zwykle olbrzymie cyfry. Gdybyście jednak zapytali 100 ludzi, co wiedzą o Lend-Lease, to 99 odpowie mniej więcej tak: „ach, to taki plan, na podstawie którego Wielka Brytania otrzymuje na kredyt materiał wojenny z Ameryki”. Gdybyście natomiast spytali, co Stany Zjednoczone do tej chwili wzamian za te dostawy otrzymały od Wielkiej Brytanii, to 99 na 100 odpowie: „bazy lotnicze... czyż nie tak?”.

Obie odpowiedzi są najbardziej groźną formą kłamstwa, są bowiem „półprawdą”. W pierwszym rzędzie trzeba pamiętać, że Lend-Lease jest wymianą dwustronną i nigdy nie był projektowany, ani realizowany jako plan jednostronny, jednokierunkowy, rozdzielający sprzymierzonych na dostawców i odbiorców.

I tak np. Imperium Brytyjskie właśnie w ramach Lend-Lease w okresie od czerwca 1942 do kwietnia 1943 dostarczyło armii amerykańskiej — 1.362.681 ton artykułów ekwipunkowych dla wojska oraz 2.177.384 ton najróżniejszych materiałów, obejmujących pozycje — od Spitfir'a po sok z cytryn, od ciężkich dział po skarpetki, od pieców kuchennych po parowozy. Cóż z tego wynika? Rzecz bardzo ważna. Armie amerykańskie przebywające w Anglii otrzymują wszystko, co im jest potrzebne w ramach Lend-Lease i w rezultacie rząd Stanów Zjednoczonych wydatkuje w gotówce na jednego żołnierza w W. Brytanii tylko... 25 centów miesięcznie. W poprzedniej wojnie ekspedycyjne siły amerykańskie w całości musiały być zaopatrywane, utrzymywane, płacone itp. przez rząd amerykański. Dziś większość tych ciężarów rozłożona jest na zasadach Lend-Lease.

Weźmy inny przykład. Angielskie działa plot., niewątpliwie najlepsze na świecie (tzw. ack-ack), pełnią dziś straż nad kanałem Panamskim. Te same działa strzegą miast amerykańskich przed ewentualnym nalotem nieprzyjaciela. Lecz to nie wszystko. Po Pearl Harbour Anglia dostarczyła w ramach Lend-Lease gotowych fabryk dział plot., które przetransportowano do Stanów Zjednoczonych. W tym samym okresie z Anglii przeniesiono dwanaście fabryk amunicji artyleryjskiej, każda o produkcji 50.000 pocisków tygodniowo.

Trzeba pamiętać, że po zradzieckim ataku Japończyków na Pearl Harbour każdy tydzień był cenny i przeniesienie gotowych fabryk z Anglii pomogło wydatnie Ameryce dobroć się w szybkim czasie.

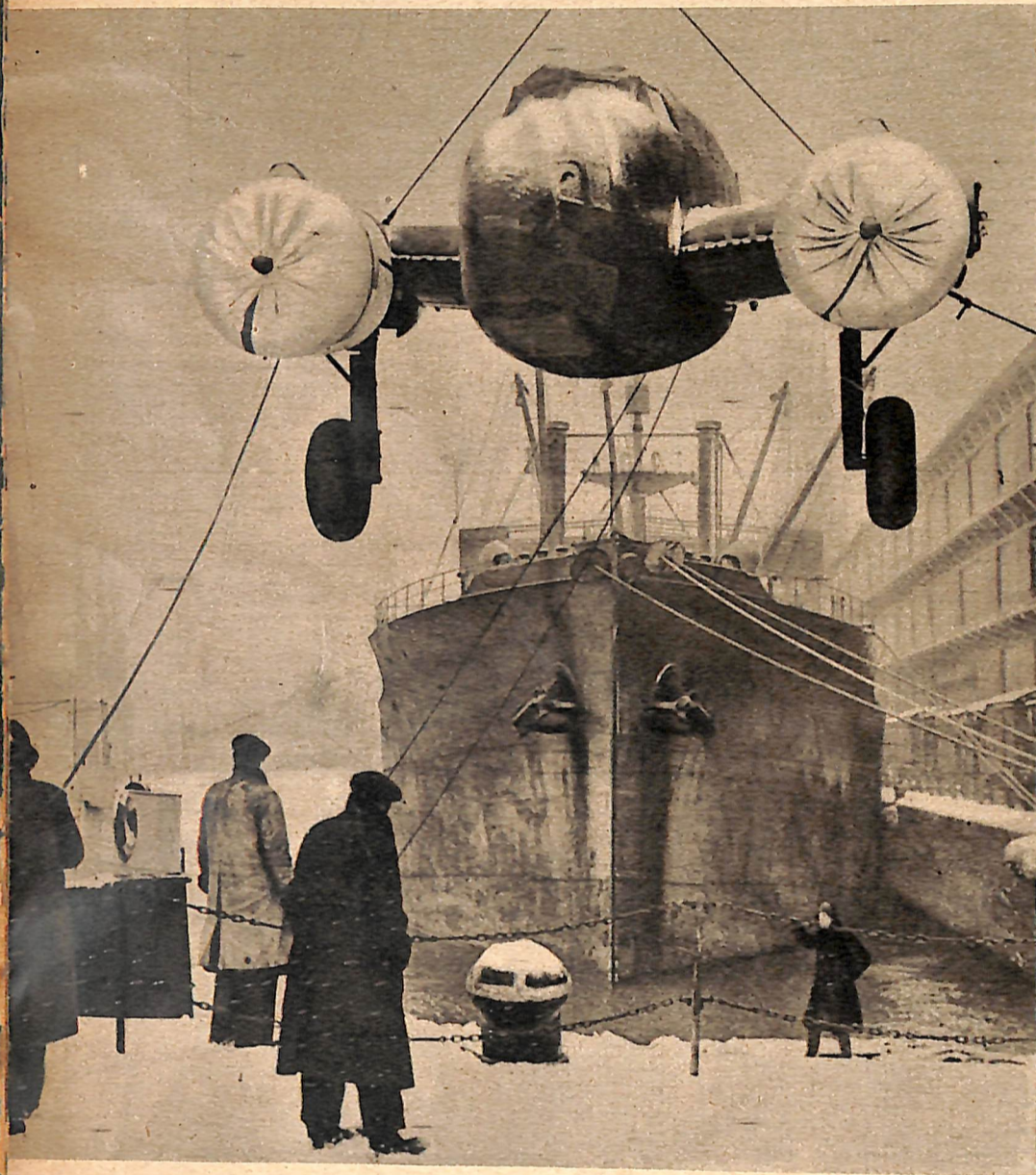
Lend-Lease obejmuje również wymianę dóbr, którą trudno ująć w statystyczne tabele i efektowne wykresy. Mamy tu na myśli rzecz bezcenną, jeżeli chodzi o prowadzenie wojny, mianowicie — doświadczenie. Anglicy w czasie twardych i krwawych miesięcy bitwy o Anglię zdobyli wiele doświadczeń, które przekazane Stanom Zjednoczonym przyczyniły się do uratowania życia tysiącom żołnierzy amerykańskich. Weźmy dla przykładu sensacyjną angielski wynalazek radio-lokacji lotniczej. Jest to przyrząd, który nie tylko sygnalizuje zbliżanie się nieprzyjacielskich samolotów, lecz przede wszystkim określa kierunek, skąd nadchodzi i pozwala ocenić ich siłę.

Radio-lokator oddał olbrzymie usługi w bitwie powietrznej nad Anglią; dzięki niemu każdorazowo można było zorganizować obronę najbardziej celowo i skutecznie. Bez tego „elektrycznego szpiega” trzeba by było użyć licznych eskadr samolotów do patrolowania. Pomijając koszt bezcennej benzyny lotniczej, która sprowadzana być musi statkami, pomijając straty związane z patrolowaniem — żaden wywiad lotniczy nie może konkurować z metodą radio-lokacji.

Wedle słów marszałka lotnictwa Sir Philip Joubert de la Ferte bitwa o Anglię została wygrana dzięki współpracy radio-lokacji i myśliwców.

Metoda radio-lokacji oraz zapas doświadczeń brytyjskich specjalistów zostały przekazane armii amerykańskiej w ramach Lend-Lease. Dziś ten wspaniały wynalazek stosowany jest szeroko na froncie Pacyfiku w walce przeciw Japonii.

Może najważniejszym rozdziałem w historii Lend-Lease jest morze i transport morski. Marynarka brytyjska działa na teatrze operacyjnym, obejmującym... 60 milionów mil kwadratowych. Stale, o każdej godzinie dnia i nocy, przebywa na morzach około 2.500 brytyjskich statków. Te statki handlowe muszą być konwojowane przez okręty wojenne i samoloty. Około 600 brytyjskich okrętów wojennych znajduje się każdego dnia i każdej godziny na morzach i oceanach. Przewóz



Na lewo: Dzieci angielskie, które na skutek bombardowania, utraciły dom, a często i rodziców, znajdują pomoc w Ameryce

U dołu: 9 szpitali amerykańskich, całkowicie wyposażonych, przybyło do Anglii. W przeciągu tygodnia, każdy z nich był zbudowany i pod dachem





Na lewo: Przesłany z za oceanu, w ramach Lend-Lease, komplet narzędzi chirurgicznych



Na prawo: Ambulans leczniczy „The Yank”

wojsk amerykańskich i ich materiałów wojennych do Wielkiej Brytanii, Afryki, Włoch itd. odbywa się na pokładach statków brytyjskich, konwojowanych przez marynarkę królewską i królewskie lotnictwo. Pozwoliło to Stanom Zjednoczonym skoncentrować swe siły morskie na Pacyfiku.

Amerykańsko-brytyjski desant w Afryce Północnej, który doprowadził do wyparcia „Afrika Korps” z Czarnego Łądu, był nie tylko największą amfibialną operacją notowaną w historii, ale i największym zmasowaniem okrętów i statków, jakie kiedykolwiek zanotowały kroniki morskie. Desant ten był również klasycznym przykładem ścisłej współpracy i wzajemnej pomocy. Żołnierzami byli przeważnie Amerykanie — marynarzami Anglicy. Udział wzięło wówczas 500 transportowców i 350 (!) okrętów wojennych Wielkiej Brytanii.

Wartość towarów wszelkiego rodzaju,

dostarczonych przez Stany Zjednoczone w ramach Lend-Lease w okresie 11 marzec 1941 — 31 lipiec 1943 wynosi funtów angielskich: 3.493.334.750. W chwili obecnej 44 państwa korzystają z Lend-Lease, a 31 z nich podpisało odnośne umowy ze Stanami Zjednoczonymi.

Powyższa cyfra, choć przypomina raczej odległości międzyplanetarne, niż kwotę pieniężną, w przeliczeniu na okres miesięczny (£ 250.000.000) stanowi tylko 15 procent wartości całkowitej produkcji zbrojeniowej Stanów Zjednoczonych. I tak np. na 100 bombowców wyprodukowanych w Stanach, tylko 17 objętych jest Lend-Lease, na 100 myśliwców — 25, na 100 lekkich czołgów — 22, na 100 ciężkich czołgów 36. Jeżeli chodzi o żywność, to 93 procent żywności Lend-Lease przypadło na W. Brytanię i Rosję.

Główną zasadą Lend-Lease jest wykluczenie spekulacji handlowej. W. Brytania przekazuje innym państwom sojuszniczym

m.in. Polsce, materiał wojenny i inne artykuły na takich samych zasadach, jakie obowiązują wszystkie państwa, objęte Lend-Lease. Walczymy przeciw tym samym wrogom i celem naszym jest w pierwszym rzędzie osiągnięcie zwycięstwa. Chodzi więc o realną pomoc wzajemną i ona jest ważniejszą od buchalteryjnej strony zagadnienia. Wojna nie jest przedsiębiorstwem akcyjnym. Wyobraźmy sobie, że pilot RAF'u leci nad Berlin z ładunkiem bomb amerykańskich wartości £ 1.000. Leci na samolocie wartości £ 22.000. Innymi słowy dług Anglii wynosi wobec Stanów Zjednoczonych za tę operację £ 23.000. Ale jaką cyfrę ma wstawić Wielka Brytania, gdy ów pilot RAF'u straci życie przy tej operacji? Walczy on zarówno za Anglię, jak i za Stany Zjednoczone i do wartości materialnych wyprodukowanych za oceanem dodaje konieczną i najwyższą wartość moralną, bez której nie ma walki i nie ma zwycięstwa.

Lease and Lend Bill (ustawa o pożyczkach i dzierżawie) została uchwalona i zatwierdzona przez senat amerykański w dniu 12 marca 1941 roku. Ustawa ta upoważnia Prezydenta Stanów Zjednoczonych do „sprzedaży, wymiany, pożyczki, dzierżawy, przekazu jakichkolwiek artykułów zbrojeniowych, w tym okrętów, środków żywności i wszelkich tych towarów, które są niezbędne do prowadzenia wojny — tym państwu, czy temu państwu, którego obronę Prezydent uzna za niezbędną z uwagi na bezpieczeństwo i obronę Stanów Zjednoczonych”. Ustawa przewiduje dalej przekaz ważnych informacji technicznych, tajemnic produkcji itd.

Lend-Lease było przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, zerwaniem z zasadą „cash and carry” i postawieniem do dyspozycji państw walczących o wolność przeciwko „osi” nieprzebranych możliwości Ameryki Północnej.

J. M.

## Obserwatorium w Greenwich

Astronomia, największe usługi oddając żeglarstwu, rozwinęła się szczególnie w Anglii, kraju panującym na morzach. Już w czasach starożytnych marynarze umieli określić położenie okrętu według księżyca i gwiazd, jednak w braku obliczeń odległości planet od ziemi nie mogło to być dokładnie stosowane.

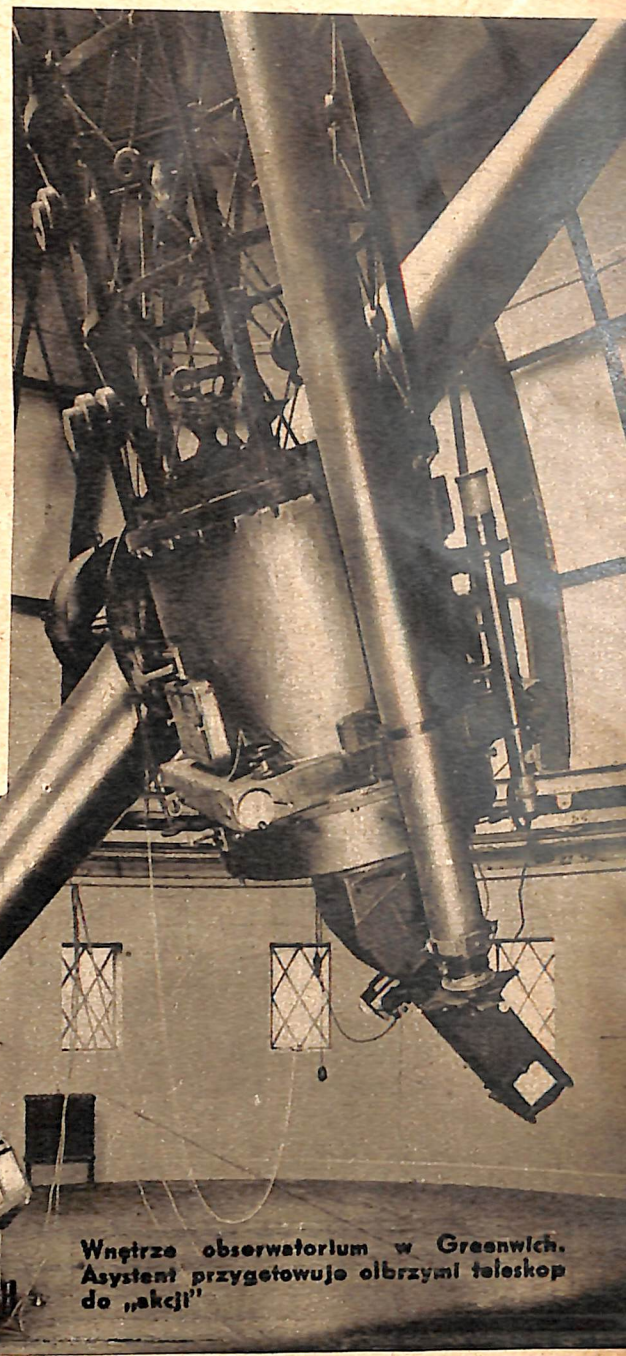
W lipcu 1675 r. na wzgórzu w Greenwich, ustronnej miejscowości zdala od Londynu zostało oddane do użytku uczonych pierwsze wielkie obserwatorium astronomiczne w Anglii. Naczelnym dyrektorem mianowany został John Flamsteed. 28-letni ten profesor nie ograniczył pracy swej jedynie do badań, lecz wyposażył obserwatorium w szereg przyrządów, które własnoręcznie wykonał. W ciągu dwunastu lat swej naukowej działalności Flamsteed dokonał ponad

20.000 obserwacji, korygując i uzupełniając tablice ciał niebieskich. Jednym z dyrektorów był także Maskelyne, który stworzył słynny Almanach Żeglarski.

W r. 1880 po raz pierwszy uznano czas podawany przez obserwatorium w Greenwich, za czas oficjalnie obowiązujący w Anglii, a dzisiaj cały świat cywilizowany ustala czas w zależności od Greenwich. W r. 1883 na międzynarodowym zjeździe ustalono, że przez Greenwich biegnie południk, przyjęty jako długość zerowa, od której są mierzone odległości na wschód i na zachód, podobnie jak od równika mierzy się odległości na północ i południe. Czas według Greenwich podaje rozgłośnia londyńskiej radiostacji BBC sygnałem sześciu gwizdków, które połączone są z zegarami obserwatorium. Mechanizm ten

udoskonalili obecny dyrektor obserwatorium Sir Harold Spencer Jones. Uczony ten, zanim objął stanowisko w Greenwich w r. 1943, był przez dziesięć lat naczelnym kierownikiem podobnej instytucji na Przylądku Dobrej Nadziei.

Wybierając odległe Greenwich na siedzibę obserwatorium, król Karol II nie przypuszczał, że po upływie dwustu lat Londyn tak się rozszerzy, iż swym wielkomięskim hałasem będzie przeszkadzał naukowemu badaniu. I chociaż Greenwich pozostanie zawsze siedzibą nowoczesnej astronomii, to obecnie projektuje się przeniesienie obserwatorium w strony bardziej zaciszne, tam gdzie powietrze jest bardziej czyste, a czułe instrumenty astronomiczne nie będą narażone na działanie pól elektrycznych wielkiej stolicy Anglii.



Wnętrze obserwatorium w Greenwich. Asystent przygotowuje olbrzymi teleskop do „akcji”



Astronom angielski Dr. H. Spencer Jones w czasie obserwacji



Obserwatorium astronomiczne w Greenwich



# KAIR TAJEMNICZY

Od szeregu lat zjeżdżają do Egiptu tysiacy cudzoziemców, którzy pragną zwiedzić historyczne miejsca i wielkopomne zabytki epoki faraonów. Turysta taki zatrzymuje się w mniej lub więcej wytwornym hotelu, po czym zaopatrzonego w korkowy hełm, mapę oraz przewodnik po Afryce, wsiada w tramwaj i z zapalem rozpoczyna zgłębianie tajemnic Czarnego Łądu. Brodzi więc po kostki w piasku, w którym spoczywają wielowiekowe bloki kamienne, fotografuje się u stóp Cheopsa, wchodzi do ciemnego wnętrza piramidy, bolesnie wali głową w zbyt niską powagę pieczary grobowców i kupuje u dozorczy świątyni świętego skarabeusza z przed tysiący lat, tudzież inne prastare autentyczne wykopaliska, własnoręcznie zrobione przez sprzedawcę.

Potem drugim tramwajem jedzie na przeciwległy kraniec miasta. Tu ogląda wysoką Cytadelę, obleganą przez tłumy żebraków domagających się pieniędzy z natarczywością, jak gdyby podpisał im weksel, którego teraz nie chce wykupić. Następnie zwiedza meczety, gdzie przy wejściu uwiązują mu do nóg szmaciane bambosze, obszerne, dziurawe i wydeptane. Dalej ogląda koptyjskie kościoły — także w bamboszach, mury warowne, już bez bamboszy, i Miasto Umarłych, gdzie Arabowie jeżdżą na rowerach, a w małych, drewnianych domkach mieszkają



liczne rodziny, żywe i cieszące się najlepszym zdrowiem. Dalej turysta składa oficjalne wizyty mumiom w muzeach i odwiedza mały w zooologicznym ogrodzie. Wreszcie przechadza się po kilku nowoczesnych ulicach, związanych z sobą na supełek tym czy innym placem, i wstępuje na kawę do cukierni.

Po dwóch dniach syty wrażeń, opuszcza Kair w głębokim przekonaniu, że poznał Egipt dokładnie i wysmieniście. Niektórzy z takich badaczy Wschodu piszą na podstawie tak zdobytych wiadomości reportaże, liryczne wiersze, tęskne nowelki, a nawet egzotyczne romanse i naukowe rozprawy. I na to spokojnie i wyrozumiale spogląda bezzwrotnymi oczami tajemniczy Sfinks i milczy przysłowiowo. U stóp jego przepływają wieki, jak ziarnka lotnego piasku i — nic się nie zmienia. Słońce świeci tak samo, jak przed tysiącem lat, woda w Nilu ma ten sam kolor, żołnierze współcześni piją tak samo, jak wojacy Napoleona i legionści Cezara, tak samo hałasują i oglądają się za dziewczętami, a dzisiejszy black-out jest zaledwie nieudolnym naśladownictwem egipskich ciemności z dawnych, dobrych czasów.

Przeciętny europejczyk, który zamieszkał u sławnego Shepherdsa i poznał Egipt, oprowadzany przez zawodowego dragomana, wyjeżdżając stąd, ma o Kairze właściwie nie o wiele większe pojęcie, niż w chwili przybycia. Bo choć to, co widział jest bezsprzecznie wspaniałe i godne zobaczenia, oglądane w takim tempie daje zaledwie mętne wyobrażenie o swej wartości, a będąc od dawna przeznaczony wyłącznie jako atrakcja dla

cudzoziemców, zatraciło swą egzotykę i istotny charakter.

Prawdziwie egzotyczny i tajemniczy Kair zaczyna się tam, gdzie kończy się program wycieczek, urządzanych staraniem biur podróży. Rozległa dzielnica miasta o wylotach przeważnie zamurowanych, bądź zabitych wysoką ścianą z desek kryje w sobie zaułki kręte, krzykliwe i błotniste. Wąskie uliczki, zdobne są mnóstwem inkrustowanych bram i misternych wykuszów. Wysmukłe minarety strzelają w niebo białym wykrzyknikiem, objuczone muły człapią cierpliwie i niezamordowane, a w czerń abai otulone dziewczęta w srebrnych bransoletach na bosych nogach, noszą na głowie kosze, pełne złocistych pomarańczy. I choć pachnie tu, jak gdyby wszystkie wonie śmietników całego świata wyznaczyły sobie tutaj walne, koleżeńskie zebranie, miejsca te nie obliczone na naiwnych cudzoziemców są pełne najszerszej egzotyki. Europejczyka w cywilnym ubraniu nie ujrzy się tu niemal zupełnie, a żołnierz przemyka chyłkiem, jako że żółte tablice z napisem: „Out of bound” zazdrośnie strzegą wstępu. Tłoczno tutaj i hałaśliwie. Na rogu Chareh El Gamech el Athmar ciżba zgromadzonych gapiów tamuje przejście. Wszyscy patrzą na wędrownego sztukmistrza, który wdrapał się na wysoką studnię i stojąc na niej, niczym żywy pomnik na kamiennym cokole, rozpoczął przedstawienie. Szerokim gestem okazuje zebrany stalową igłę do szycia, po czym kładzie ją sobie na język i połyka zapijając wodą z trzymanej w drugim ręku butelki. Za pierwszą igłą idzie druga, trzecia, dziesiąta, dwunasta. Następnie czarodziej prezentuje publiczności długą, białą nitkę, którą także zjada z nie mniejszym apetytem. Pociągnawszy z butelki, trzykrotnie wymawia cudowne zaklęcie: „Hallaha!” i wydobywa z ust połkniętą nitkę, na której dynda nawleczony tuzin zjedzonych igieł. Zachwyceni widzowie biją rżęsiste brawo, cmokając głośno w dowód wielkiego uznania. Teraz sztukmistrz pochyla się nad jednym z publiczności i wymawiając: „Gulu-gulu-gul” wyciąga mu z nosa żywego kurczaka. Wiedziony ostrożnością odchodząc, bo jeśli czarodziej potrafi wyciągnąć kurczę z nosa, to równie łatwo może wyciągnąć portfel z kieszeni.

Na pobliskim placu trupa akrobatów rozpostarła spłowiła dywan i wykonuje na nim przeróżne młynki, skoki i inne łamańce. Nieuczciwą konkurencję czyni im uwiązany na łańcuchu tresowany pawian, który również fika koziołki w takt uderzeń tamburina przedsiębiorcy. Nieopodal siedzi uliczny cyrulik, pochło-



nięty goleniem brody jakimś pięknisio-wi. Nagle całe towarzystwo musi przetrwać swe zbożne zajęcia. Akrobaci zwijają dywan, mała przestaje fikać, a goli-broda wraz z namydlonym klientem powstają ze swych miejsc. Środkiem placu przejeżdża bowiem „damski tramwaj”, przed którym muszą ustąpić. Wehikuł ten, to po prostu dwukołowy wózek, na którym siedzi około dwudziestu kobiet, ciągniętych przez jednego, głupiego osła.

Pomiędzy dwoma straganami o wysokich wzgórzach słonecznych mandarynek w mrocznej piwnicy przyciąła się herbaciarnia. Goście tu siedzący mają oczy zlekka zamglone, spojrzenia mętne i senne, czynią wrażenie, jak gdyby fajki, które palą na długich cybuchach, nabite były nie



tylko zwykłym tytoniem. Do wnętrza palarni nie wchodzi, gdyż twarze stojących u wejścia trzech jegomościów o wyglądzie zamiłowanych i dokładnych morderców bynajmniej nie zachęcają do zwiedzenia tego lokalu.

Po kilku wyboistych, kamiennych schodach można wspiąć się wyżej, na małą, sierpem zatoczoną uliczkę, skąd dobiegają skoczne dźwięki gramofonu. Przed niskimi w murze wnękami, których wejścia zasłonięto kotarami z nanizanych na sznurki wielobarwnych paciorków, siedzą młode Arabki. Odsłonięte twarze mają uróżniane i wymalowane na wszelkie możliwe kolory: usta karminowe, policzki barwy cynobru, powieki fioletowe, brwi i rzęsy uczernione, na czole i podbródku — niebieskie tatuaże. Siedzą roześmiane, zadowolone z siebie i ze świata. Wiele z owych wnek, nad którymi nieodłącznie wyobrażona jest Ręka Fatimy, na głucho zabito deskami i napiętnowano czerwienią lakowych pieczęci. Są to instytucje zamknięte tytułem kary za to, że policja polowa zastała w nich żołnierza, któremu nie uwieryła, iż przyszedł tutaj jedynie, by przeczytać gazetę lub zaczekać na autobus. Pomimo tak surowych represyj, siedzące roześmiane syreny na widok mego munduru jęły śpiewnie przywabić mnie, z czego łatwo wynioskowałem, że żołnierze zwiedzają Kair nad wyraz skrupulatnie.

Błądząc tysiącem zaułków znalazłem się w uliczce, wiodącej na stary Bazar. Przed sklepem wschodnich wonności siedzi starszy mężczyzna o śniadej, pociągłej twarzy i srebrnych pasmach siwych włosów w kruczey czuprynie. Uprzejmym uśmiechem zaprasza mnie do wnętrza swego magazynu. Na podłodze pokrytej



wzorzystym dywanem stoi inkrustowany okrągły stolik, otoczony wieńcem pufiastych poduszek. Z seledynowego sufitu zwisa na ciężkim, mosiężnym łańcuchu, cyzelowana ampla. Wokół ścian półki z butelkami i słojami, zawierającymi arabskie perfumy i egipskie pachnidła o tak fascynujących nazwach, jak: „Sekret pustyni”, „Królowa Kleopatra”, „Arabska noc” lub „Czar haremu”.

— Byłem w Warszawie — mówi mój gospodarz. — Kilkakrotnie przyjeżdżałem w gościnę do brata, który miał tam duże przedsiębiorstwo. Nazwisko moje: Bosadzogli. Mój brat miał u was w Polsce piekarnię i cukiernię „Bosfor”. Słyszał pan może?

Oczywiście, słyszałem. Nie było bowiem w Warszawie sztubaka, któryby nie chodził na ciastka „do Turka” w pobliżu Głównego Dworca, albo nie przeżywał pierwszych randek na dancingu „Bosfor” przy Nowym Świecie. Pijąc czarną kawę rozmawiamy o dalekiej Polsce. Bosadzogli wymienia znane mu nazwy: Marszałkowska... Wierzbowa... Plac Napoleona... Łazienki. I nagle, w arabskim sklepie tureckiego handlarza egipskich pachnidła na przedmieściu Kairu, wśród wymyślnych flakonów, pełnych wschodnich wonności, zapachniały bzy parku Paderewskiego i zasumiało kasztanami Ujazdowskich Alei.

Zapadał zmierzch, gdy pożegnałem tureckiego kupca i zanurzyłem się w krętych i wartkich ulicach Bazaru. Mnóstwo tu sklepów, pełnych cennych tkanin i brokatów, szlachetnych kamieni, wyrobów ze słoniowej kości, ze srebra i złota. Złota w każdej wystawie tyle i tak olśniewającego, że aż czyni wrażenie fałszywych, bez wartości blaszek lub ozdób na choinkę. Wstępuję do jednego z bardziej okazałych sklepów. Właściciel proponuje mi sztylet z damasceńskiej stali, srebrną papierosnicę z wytłaczanym marabutem i alabastrową figurkę Tutankhamena. Niestety, ceny są tak wygórowane że o kupnie nie mogę nawet marzyć. Gdy zwracam na to uwagę, sprzedawca odpowiada, że ceny są stałe i niezmiennne, a panowie Boloni, jacy u niego kupują, są nad wyraz zadowoleni. Na dowód swych słów dobywa z kasy wielką oprawną w karmazynowy safian księgę i z dumą pokazuje, co wpisano mu na pamiętkę. Oto, co przeczytałem: „Pijcie tylko czystą wyborową i nic nie kupujcie u tego cwaniaka”.

— Bardzo pięknie i zupełnie słusznie napisane — przyznałem szczerze. — Gotów jestem sam się pod tym podpisać.

Nabyłem jakąś kościaną cygarniczkę, grubo przepłacając i opuściłem kramarza.

Nad Kairem rozpościerał się granatowy wieczór, zawieszając na szczycie minaretu Mohameda Ali wielki, miedziany piaster pełni księżyca. W świetle migotliwych kaganków kędzierzawi przekupnie krzykliwie zachwalali palone fistaszki i pieczoną kukurydzę. Przez otwarte okno radio głosem angielskiego speakerka podawało ostatnie komunikaty z Londynu, a na zatłoczonej jezdni murzyn w czerwonym fezie, kierując nowoczesną, ośmiocyndrową limuzyną Packarda, z trudem wymijał majestatycznie kroczącego wielbłąda.

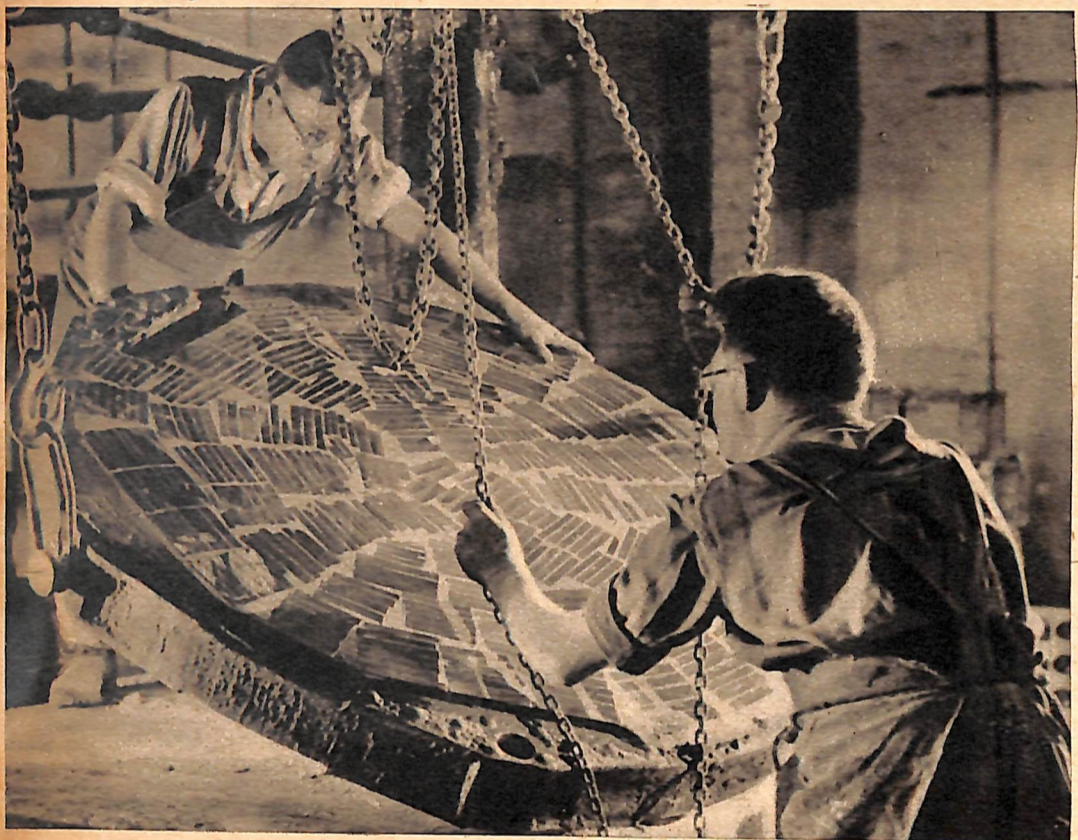


# SZKŁO WALCZY



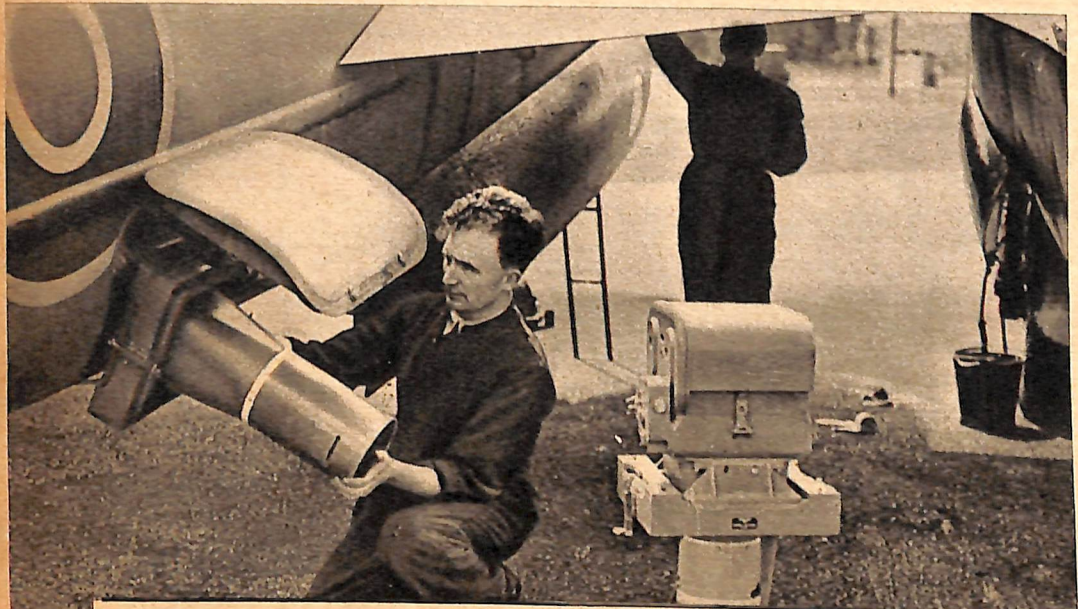
Moskito może z baz poza kontynentem przemierzyć Europę i powrócić do bazy bez lądowania. Jest on wyposażony w liczne aparaty fotograficzne

Jednym z bardzo ważnych przemysłów wojennych jest fabrykacja szkła optycznego. Dziś angielskie soczewki przewyższają znacznie swą jakością znane dawniej optyczne wyroby fabryk niemieckich. Peryskopy, aparaty fotograficzne i filmowe lotnicze, skomplikowane optyczne przyrządy używane w żegludze — stanowią ważną część bojowego wyposażenia. Obecny rozwój fotografii lotniczej umożliwia planowe bombardowania i szczegółowe opracowywanie strategiczne długofalowych ofensyw lotniczych.



Pierwszy szlif soczewek fotograficznych w jednej z wielkich wytwórni brytyjskich

Najlepszego typu aparaty fotograficzne — produkowane w Anglii — stanowią część wyposażenia bojowego samolotów RAF'u



Tłoczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F. Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.



Szkło optyczne jest produktem skomplikowanych procesów chemicznych. Oto bryła, z której szlifować będą soczewki

## Afifa, Ulu i Azizja dzieci libańskich gór

Libański brzeg morza Śródziemnego jest górzysty. Majestatycznie ciągną się wysokie, ośnieżone góry. Pomiędzy przepaściami biegną wąskie, pełne karkotomnych serpentyn drogi. U stoków gór, w dolinach i jarach ludzie pobudowali swe domy. Są to ludzie wysocy, ciemni, ładni, a nade wszystko uczciwi. Uczciwość ich mogłaby być przykładem dla ludzi z Europy. Prócz uczciwości cechuje ich gościnność. Mimo, że ciężka, gliniasta, pełna kamieni ziemia nie daje zbyt wiele chleba, mimo, że trudna jest jej uprawa — Libańczyk nie wypuści ze swego domu gościa bez poczęstunku. Co ma, to da...

W Libanie jest dużo dzieci. Nasze wojsko zawarło z nimi wielką przyjaźń. Jedzono — dostownie — z jednej menażki i jedną tyżką.

W namiocie leży żołnierz. Choć nie śpi, ma przymknięte oczy. Wtem do namiotu wchodzi chłopczyk. Mały, ma osiem lat. Czarne ślupki, czerwony od chłodu, zadarty w górę nosek. Jest bosy, biednie ubrany. W rękę trzyma kilka ślicznych róż. Chłopak myśli, że żołnierz śpi, stąpa na palcach. Podchodzi do łóżka i kładzie różę. Później opuszcza moskitierę i chce odejść. Żołnierz podrywa się, chwytając chłopaka.

— Ulu, a to co? — wskazuje na kwiaty. Chłopczyk przytula swój zimny, różowy policzek do twarzy żołnierza i mówi — Bachczysz. Żołnierz wyjmując kilka papierków i chce mu je dać.

Czarne oczy Ulu patrzą z wyrzutem. Odpycha pieniądze. — Bachczysz dla ciebie! — pokazuje palcem żołnierza.

Któregoś dnia zachciało się żołnierzom czarnego chleba.

— Ibrail — mówi do dwunastoletniego chłopaka — masz liwra, skocz na wieś i przynieś chleba. Ibrail wraca po kilkunastu minutach. Przynosi arabskie placki i liwra.

— Czemuś nie zapłacił?  
— Chleb — Bachczysz dla was. Żołnierze naturalnie nie chcą gadać. Pakują mu liwra do kieszeni. Ibrail rzuca liwra na łóżko i wybiega z namiotu. Cały dzień go nie było. Bał się, że zmuszą go do wzięcia pieniędzy.

A Ibrail jest bardzo biedny. Porcięta jego są całe w tatach.

„Księżniczka” jest na imię Afifa. Jest malutka, blada. Błyszczą tylko czarne oczy i białe zęby. „Księżniczka” jest bardzo majestatyczna. Zachowuje się jak dystygowana dama, choć ma siedem lat. Jest biednie, ale schludnie odziana. Nie chodzi bosy. Na nogach ma drewniane sandały. Nie bawi się, jak inne dzieci, rzucaniem błyszczących kamyczków. „Księżniczka” siedzi w namiocie i uważnie przygląda się żołnierzom. Czasami zabiera białiznę do prania, której nikt nigdy nie liczy. I nikomu nic nigdy nie zginęło. W pierwszych dniach nie chciała brać za pranie. A później, kiedy otrzymuje np. liwra, pót zwraca. Bo cały liwra, to za dużo.

Azizja ma dziewiętnaście lat. Jest przystojna, miła. Zna francuski i angielski. Kiedy zaproponowano jej, żeby wzięła udział w świątecznym przedstawieniu brygady, zarumieniła się.

Co? Ona na scenie?

Całe szczęście, że ojciec i bracia Azizji byli po naszej stronie. Zgodziła się wreszcie pod następującymi warunkami: Nikt jej nie dotknie, nikt z mieszkańców wioski nie będzie na przedstawieniu (kompromitacja), przed przedstawieniem powie się widzom, że ona zgodziła się na ten występ tylko dlatego, że bardzo lubi i poważa polskich żołnierzy. Bo są grzeczni, mili i eleganccy, i że ona nigdy nie brała udziału w żadnych przedstawieniach. Obiecano i spełniono wszystkie warunki umowy. Prócz jednego. Na sali było wielu miejscowych obywateli. Lecz Azizja nic nie mówiła. Bo w kostiumie, który jej uszyto, bardzo ładnie wyglądała. Na przedstawieniu, za „kulisami” towarzyszyli Azizji — ojciec, dwaj bracia, ciotka i siostra. Pilnowano... Co kraj to obyczaj.

Na drugi dzień po przedstawieniu z pół kompanii wojska pojechano do Azizji robić zdjęcia. Wszystkich przyjęto kawą i owocami i wszyscy musieli całować w policzek 6-cio tygodniowe niemowlę, które trzymał na ręku ojciec.

Te pocałunki — w myśl miejscowego zwyczaju — przynoszą i dziecku i całującym szczęście.

Zwiedzieliśmy wiele krajów i niemal nigdzie nie przyjęto nas źle. Wszędzie okazywano wiele serdeczności. Ludzie z natury nie są źli, ale ludzie szybko zapominają. Napisy polskie w Teheranie czy Bagdadzie już zniknęły. Przeważnie traktowano nas jako grzecznych i do brych klientów. Tak jest na całym świecie i to jest naturalne. Ale to, co było w Libanie, to było spontaniczne, doprawdy wzruszające piękne. Tam było serce. Pewno, że i duża zastuga w tym nasza. Byliśmy dobrzy dla libańskich dzieci, dzieliłiśmy z nimi nie tylko jedzenie, ale smutek i radości.

Trudno jest zapomnieć piękny Liban i jego biedne, bose dzieci. Trudno jest zapomnieć, jak gościnnie przyjmowano nas w górskich domach, a nade wszystko trudno będzie zapomnieć dzień naszego wyjazdu. Nasze pożegnania z dziećmi, dziećmi, które płakały. Płakały szczerze, uczciwie. Z serca.

Tego dzieciom z libańskich gór — nie zapomnimy.

Mieczysław Stryk

Str. 4: fot. Keyston  
Str. 5: fot. F. Malinik  
Str. 6 i 8: fot. British Ministry of Information  
Str. 8 i 9: fot. W. O. Official Photograph  
Str. 10 i 11: fot. „Parade”

Układ graficzny:  
JERZY MŁODNICKI

# HUMOR AMERYKAŃSKI

— Ten pan pragnie tylko obejrzeć diamenty przy świetle dziennym...

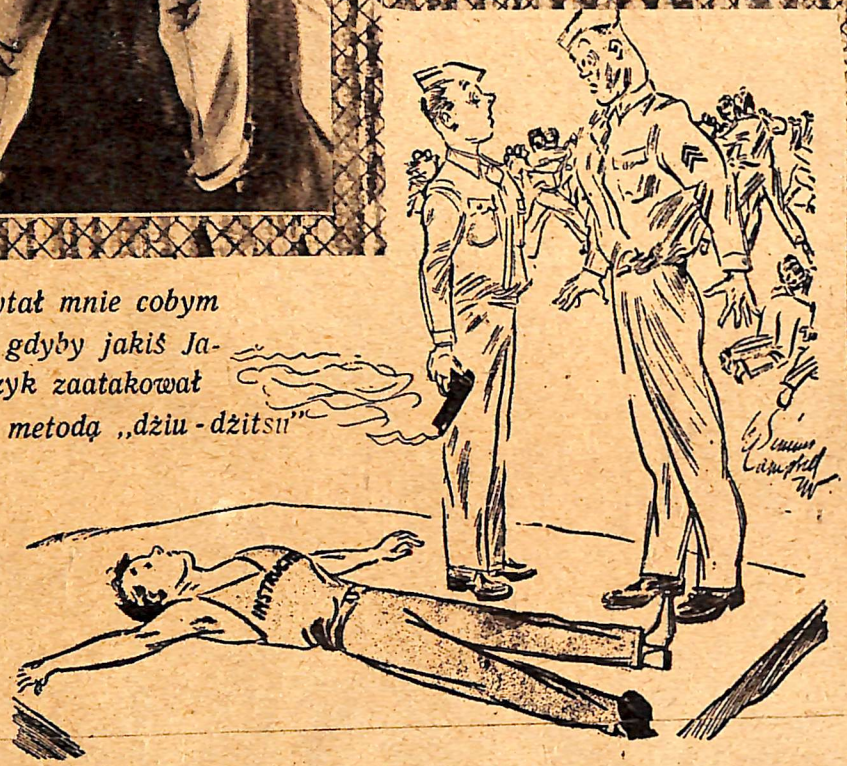


„Hm — m — mm...”



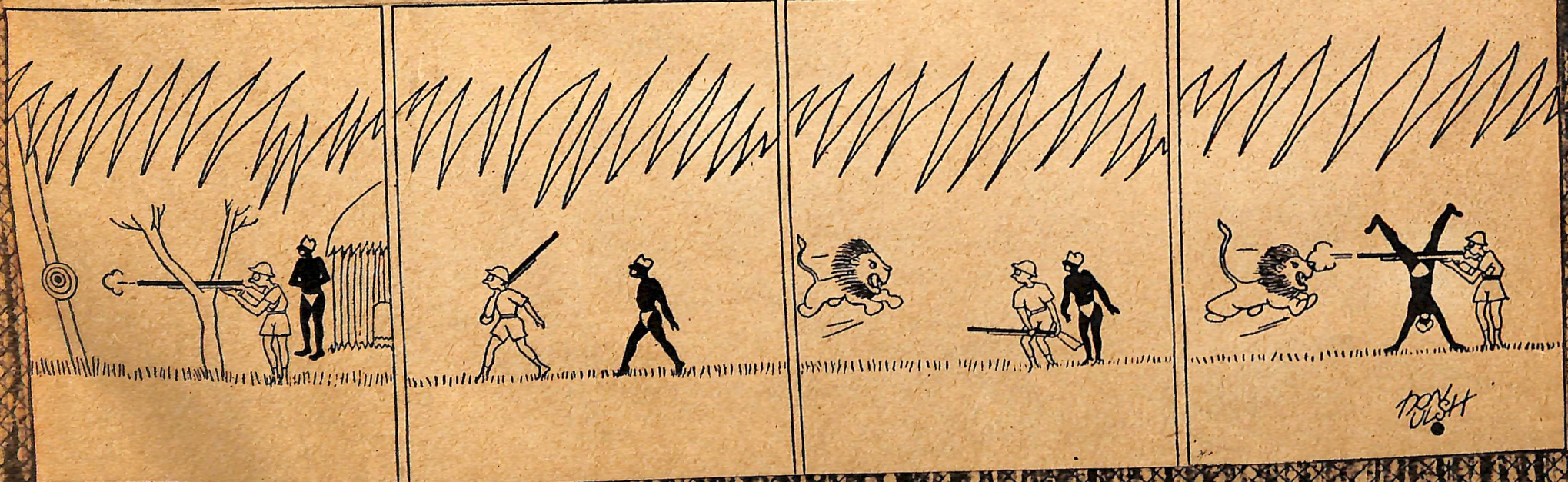
— Tak nas obserwują, że może włożymy coś na siebie

— On spytał mnie co bym zrobił, gdyby jakiś Ja-  
pończyk zaatakował  
mnie metodą „dziu - dzitsu”



← Prawda żo-  
neczko, że ostat-  
nio mówiliśmy  
często, iż zaa-  
doptujemy kilka  
małeństw...

— Tak się spie-  
szę, że zaczekam  
na wyprasowanie  
spódniczki... →





W Krynicy śnieg